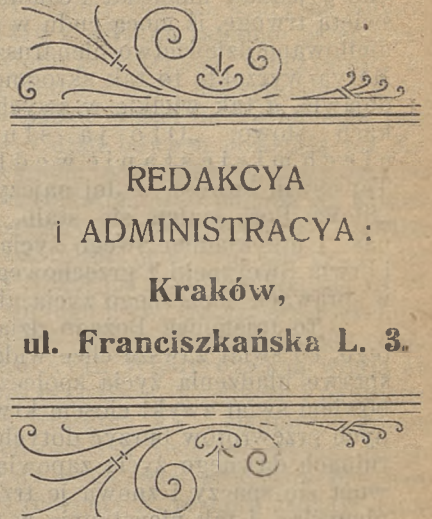


POLSKI SIEW



REDAKCJA
i ADMINISTRACJA:

Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.



Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU III-go:

Tajemnica zwiastowania wobec wojennego zamętu w świecie. — Kościół katolicki a pokój powszechny. — Historia czei św. Józefa w kościele katolickim. — Alfons Ratisbonne. — Skutki powołania pod broń francuskiego duchowieństwa. — Spowiedź św. — Pierwsza matka. — Poważna troska o brak kapłanów po wojnie. — Nie traćmy nadziei. — Obecność Boska. — Miłość chrześcijańska. — Gdzie prawdziwa pociecha? — Wojna w mieście i na wsi. — Cudowne nawrócenie w czasie wojny. — Opieka nad ubogimi w parafiach krakowskich. — Czy i Papież się spowiada. — Nawrócony rozbójnik. — Ofiara serca. — Pokuta? Co to jest? — Z życia św. Franciszka Sal. — Ks. de la Mothe. — Woda i Chleb Boży. — Słowa przy koronacji Papieża.

Tajemnica zwiastowania wobec wojennego zamętu w świecie.

Przyjęło się w świecie powszechne mniemanie, jakoby dzieło Odkupienia dotyczyć miało tylko sprawy wiecznego zbawienia ludzi. Zapewne, że wieczne dobro dusz ludzkich, ze wszystkich dóbr największe, było głównym celem przyścia Syna Bożego na świat. Wszelako najbliższem następstwem tajemnicy Wcielenia się Boga było społeczne podniesienie ludzkości na ziemi. Grzech bowiem potargał nie tylko te wszystkie związki, które łączyły człowieka z Bogiem, ale popsuł też stosunki wzajemnego braterstwa ludzi na ziemi. Wszak już dzieci Adama toczą z sobą krwawe boje. Pycha bowiem, owo ziarnko szatana: „będziecie jako bogowie, wiedzący zła i dobre“ krzewiąc się w sercu ludzkim, pokłóciła brata z bratem, męża z żoną, syna z ojcem, a poczytawszy przemoc i namiętność ludzką za bóstwo, doprowadziła ludzkość do tego strasznego stanu,

który określa nasz poeta Krasieński takimi słowami: „Już się ma pod koniec starożytnemu światu; wszystko, co w nim żyło, rozpręga się i szaleje; bogi i ludzie szaleją“. A gdy w tym szalonym wirze, w którym pomieszało się dobro i zło, a enota i występki za jedno były, świat stanął nad brzegiem przepaści i tak się zdało, że już ratunku dlań niema, wówczas Bóg, wiecznie „spokojny i niewzruszony, ten nieublagany Rozum świata, patrzący z wysoka na owe wiry nieba i ziemi“, zstąpił między oszalałe dzieci świata, by je z tych odmetów wywieść i ku pokojowi życia poprowadzić.

„Dziwnym atoli jest Bóg w dziełach swoich“. Przyśtępując bowiem do wielkiego dzieła społecznej odnowy świata, nie poczyna jej od przewrotów dotychczasowego ustroju i ogłaszania szumnych ustaw, warujących „raj“ na ziemi, ale oiera ku temu środki skromne, które świat zwykł godzić i w wielkich swych zamierzeniach za nie poczytywać.

Oto do wżgąconej mięsciny żydowskiej, Nazeretu, posyła swęgo niebieskiego sługę, archanioła Ga-

bryela, i ubożuchnej, nieznaney światu, Dziewicy Maryi. zwiastować każe. iż „pocznie i porodzi Syna i nazwie imię Jego Jezus, a On zwan będzie Synem Najwyższego“. Ulekkła się święta Panienska tej wieści, boć przecie Bogu ślubowała wieczne dziewictwo, więc pyta frasośliwie: „jakoż to się stanie, gdy męża nie znam“. — Skoro jednak niebieski Posłaniec uspokoił w Niej tę świętą trwogę, iż mocą Cudu w świętem Macierzyństwie umiłowane dziewictwo nienaruszenie zachowa, wówczas Marya wyrzekła to tak skromne w swym zewnętrznym objawie, a tak wielkie w swych błogosławionych skutkach słowo: „Oto ja służebnica pańska. niech mi się stanie według słowa Twego“. Tej chwili bowiem w Jej najczystszej łonie odwieczne „Słowo Boże ciałem się stało, by zamieszkać pośród nas“ i przykładem Swego życia, mądrością Swej nauki i krwią Swej męki z grzechowego upadku nas podnieść. w sprawach doczesnego życia uładzić i wiecznie zbawić.

Oto tajemnica Bożego działania. Niemasz w niem tego, co świat zawsze chce widzieć, gdy mu o doniosłą sprawę uładzenia życia społeczeństwa chodzi. Wtedy bowiem świat zwykł ciosem krwawych wojen i społecznych przewrotów burzyć dotychczasowy porządek, a na ruinach dawnego życia zapowiadać nowe, które znowu wnet się spaczy i znowu je trza będzie burzyć a nowe obmyślać. I tak nieustannie w świecie się dzieje w tem błędnem kole społecznego życia na ziemi.

Brak bowiem temu życiu tego, co tajemnicę ładu stanowi, a co Najśw. Marya Panna zamknęła w tych prostych słowach: „Oto ja służebnica pańska“. Próżne przeto będą zawsze wszystkie zabiegi, świata około stworzenia wiecznego pokoju na ziemi, dopóki społeczność ludzka nie wyrzeknie owych posłusznych Bogu słów: „Oto ja służebnica pańska“ i nie przyjmie do swych społecznych urządzeń tego, czem Jezus Chrystus królestwo swoje na ziemi spoił, które na chrześcijańskiej zasadzie w każdej dziedzinie się oprze stworzyć może ów wieczny pokój, o który dotąd ludzkość od początku swego istnienia zawsze daremnie się ubiega.

Kościół katolicki — a pokój powszechny.

Katolicy powinni w przyszłości zająć się więcej energicznie i konsekwentnie myślą z aprowadzenia pomiędzy narodami trwałego pokoju powszechnego. W tym celu powinni wygłaszane fałszywe hasła prostować, a postawić swój własny dobry program! Oto hasło, które zaczynają niektórzy rzucać, a które nabiera coraz więcej aktualności. Im bardziej dają się we znaki okropności wojny, to tem miłszym wydaje się ludzkości pokój powszechny.

Ale kiedy mówi się o pokoju powszechnym, to niektórzy ruszają z politowaniem ramionami, uważają to za czystą utopię, za ideał niemożliwy do przeprowadzenia na ziemi. Powszechny pokój na świecie, to mrzonki socjalistyczne! Na ziemi znajdować się będą zawsze źli ludzie, rozbieżne interesa państw zawsze doprowadzać będą do zatargów, tak że ostatecznie tylko wojna rozstrzygać będzie.

Jednakowoż te wszystkie zarzuty nie przekonują nas o tem, jakoby powszechny pokój między narodami był niemożliwy. Bo jak spory pomiędzy pojedynczymi ludźmi rozstrzyga uznany trybunał, tak samo też spory pomiędzy państwami może rozstrzygać międzynarodowy trybunał światowy. Okrucieństwa dzisiejszej wojny powinny zatem przekonać niejednego pesymi-

stę. Należy się spodziewać, że katolicy wszystkich krajów połączą się wkrótce po wojnie. ażeby na świecie przeprowadzić praktycznie program braterstwa wszystkich ludów. Inne organizacje nie mogły bowiem przeprowadzić tego programu.

Jedynie chrześcijaństwo jest powołane szerzyć w świecie myśl powszechnego pokoju i myśl tę praktycznie przeprowadzić. Wszak Boski nasz Zbawiciel przykazanie o miłości bliźniego ogłosił jako „swoje“ przykazanie. Ludzie powinni być wajemnie braćmi dla siebie, boć przecież mają tego samego Ojca w niebie. Według przepowiedni Pana Jezusa ma przecież kiedyś być jeden pasterz i jedna owczarnia! Więc kiedyś nadejdzie czas. że zapanuje pokój powszechny. Czasy dzisiejsze są najstosowniejsze, ażeby tę myśl przypomnieć znękaney ludzkości. W połowie ubiegłego wieku podnoszono tę myśl w Angli, we Francyi, w Ameryce, ale tylko sporadycznie. Hasło zaś powszechnego pokoju szerzyli, jako swoją wyłączną własność, głównie socjaliści, wolnomularze i różni sekcjarze.

Ale tego szczytnego hasła używali często do swoich partyjnych celów. A ponieważ szerzyli je wraz z hasłami nienawiści przeciwko państwu, własności prywatnej, przeciwko religii itd., nie przeto dziwnego, że nawet tak szczytne hasło pokoju powszechnego zostało wykrzywione. Socjaliści odrzucali wojnę głównie ze względów gospodarczych. Znany jest n. p. płomienny manifest, jaki wydali socjaliści francuscy, gdy w r. 1870 zanosilo się na wojnę prusko-francuską. Powiedziano tam między innymi: „Wojna o większe wpływy polityczne albo o interesa dynastyi uchodzić musi w oczach robotników jako najgłupszy absurd... My protestujemy przeciwko wyniszczaniu rasy ludzkiej, przeciwko marnowaniu pieniędzy poddanych, które powinny służyć tylko na poprawę roli i podniesienie rzemiosła, protestujemy przeciwko rozlewowi krwi, która leje się tylko dla nasycenia miłości własnej i żądzy panowania monarchów“. Te słowa są nam dzisiaj aż nadto dobrze zrozumiałe i jasne.

Wszystkie stronnictwa chrześcijańskie powinny zatem bezwarunkowo uchwycić teraz inicjatywę w swoje ręce i w miejsce programu partyi rewolucyjnych postawić swój własny program.

Papież Benedykt XV. wskazał już drogę. Wyraził on już niejednokrotnie nie tylko swoją niezmierną boleść z powodu okrucieństw wojny, ale zarazem zwrócił uwagę na przyczyny powszechnego na świecie zamętu i zamieszania, które to przyczyny muszą być ze świata usunięte, jeżeli nie mają ciągle zagrażać pokojowi. Przedewszystkiem musi obowiązywać dziesięć przykazań Boskich w życiu między narodowem, tak jak obowiązuje w życiu pojedynczych ludzi. Jak to my pojmujemy teraz dobrze tę niezmierną doniosłość, jaką posiadają V., VII., VIII. i X. przykazanie Boskie, tych czterech filarów moralnych, w których jest zakazana rzeź ogólna bez koniecznych racyi V., polityka zaborcza VII., X., intrygi dyplomatyczne i manifesty, ogłaszane imieniem Najwyższego VIII. Na tych czterech przykazaniach opiera się całe prawo międzynarodowe; bez nich będzie wszystko tylko dyplomatyczną formalnością, która do niczego nie obowiązuje. Jest bowiem tylko jedna moralność, która obowiązuje i w stosunkach międzynarodowych i w stosunkach państwowych i w stosunkach prywatnych. Z bezbożnych bowiem macchiawelskich zasad o podwójnej moralności wypływa bezsprzecznie cała niedola dzisiejszej wojny. Ludzie, którzy wstydziłiby się do śmierci, gdyby im

w ich życiu prywatnem udowodniono oszustwo, pozwalają sobie jako „mężowie stanu“ na wołające o pomstę do nieba nadużycia, gdy te wychodzą na pożytek państwa. Sławny minister włoski Cavour powiedział raz do swego przyjaciela politycznego d'Azeglio: „Gdybyśmy czynili to dla siebie, co czynimy dla Italii, to uważano by nas za wielkich łajdaków“. Na to odpowiedział mu przyjaciel: „A przecież nie stało się jeszcze, ażeby była podwójna moralność“.

Justitia est fundamentum regnorum! (Sprawiedliwość jest podwaliną państw!) Sprawiedliwość nakazuje każdemu oddać co jest jego własnością. Odwieczne zasady moralności obowiązują w równej mierze tak rządzących jak rządzonych, tak państwo jak obywatele. Gdy dziesięć przykazań Boskich będzie uznanych i gdy one staną się normą obowiązującą dla państw, wtenczas można się spodziewać, że uda się ustanowić trybunał międzynarodowy, któryby mógł rozstrzygać wszystkie zatargi światowe. Wówczas będzie można mówić o świętem prawie międzynarodowem, które opiera się na Bogu, najwyższym Prawodawcy i na sumieniu, którego sędzią jest Bóg sprawiedliwy. Takie prawo jest niezależne od kaprysów i złości ludzkiej, ani od zepsutych obyczajów ludzkich.

Narody, znużone śmiertelną walką i broczące krwią z tysiącznych ran, zapragną już w niedalekiej przyszłości zabezpieczyć się przed podobnemi, bezprzykładnemi wojnami i będą wołać o pewny sposób, któryby im zapewnił trwałą, powszechną pokój. Ale ten trwały pokój może być tylko wtenczas zapewniony, jeżeli będzie się opierał na dziesięciu przykazaniach Boskich.

Narody świata mogą się zbratać pod hasłem powszechnego pokoju w Kościele katolickim.

Historia czi św. Józefa w Kościele katolickim.

Cześć św. Józefa w Kościele katolickim rozwijała się wprawdzie wolno, ale stale. Pierwsze wieki chrześcijaństwa, zajęte dowodzeniem Bóstwa Jezusa Chrystusa i Jego nadprzyrodzonym narodzeniem z Matki-Dziewicy wobec ciągłych napaści pogan i kacerzy, nie miały sposobności zająć się czlowieczem pochodzeniem Zbawiciela i jego ludzkimi stosunkami. Atoli Ojcowie i pisarze Kościoła jak Justyn, Orygenes, Efreń, Jan Chryzostom, Hieronim i Jan Chryzolog nie mogą w swych pismach tego świętego Opiekuna i Żywiciela Jezusa całkiem pominąć. Owszem, często o nim wspominają i podnoszą jego cnoty i zasługi. Pisarze IX. i X. wieku, jak Beda, Rabanus Maurus, Wolafrid Strabo i Paschazyusz Radbertus już głębiej w życie św. Józefa wglądają i piszą o jego świętem dziewictwie, oblubienictwie z Najświętszą Maryą P., a nawet spierają się z sobą, czy ten związek nazwać małżeństwem, czy też narzeczeństwem tylko.

Ten spór uczonych zakończył się dopiero w wieku XII. Wówczas to opat Benedyktynów Rupert z Deutz i Hugon od św. Wiktora, z zakonu Kanoników regularnych, mężowie niezwykle bystrych umysłów, dowiedli, jasno, że związek św. Józefa z Matką Bożą, aczkolwiek pozostał dziewiczym, był jednak prawdziwym małżeństwem. Do tych dwóch szerzycieli czi Świętego dołączyli się wkrótce wielcy mistrzowie Szkoły, Piotr Lombard, Adalbert Wielki, Tomasz z Akwinu, Duns Szkot, Bonawentura i Durandus i rozstrzygnawszy sprawę małżeństwa św. Józefa, przyznali mu chwalebne miano męża Maryi i prawnego ojca Jezusa, a wykazawszy jego dziewictwo, przydali mu do tych godności niezwykłego

blasku świętości. To też nie dziw, że ten postępek w nauce o św. Józefie wywołał pobożny oddźwięk w całym chrześcijańskim świecie. Odtąd cześć św. Józefa staje się już powszechną i urasta w sercach wiernych coraz szybciej.

Najwięcej zasług w szerzeniu czi św. Józefa w wiekach średnich położył uczony Gerson, który na soborze w Konstancyi w r. 1416 z wielkim zapalem przemawiał za tem, aby ustanowiono powszechną uroczystość ku czi Świętego. Mowa Gersona stała się sygnałem, który zbudził na całym Zachodzie dusze do uwielbienia tego św. Opiekuna Jezusa. Odtąd bowiem powstają już Kościoły pod jego wezwaniem, osobne święta jego czi poświęcone, bractwa, przybierania jego imienia na chrzcie św. itp. Sztuka chrześcijańska, która na obrazie i rzeźbie przedstawiała dotąd św. Józefa jeno w gronie św. Rodziny, odtąd maluje go i rzeźbi już samodzielnie, jak to widać np. na obrazie Gaddiego u św. Krzyża we Florencyi.

Nabożeństwo do św. Józefa dosięga jednak całej pełni dopiero w wieku XVII. Wtedy bowiem wdają się w tę sprawę najwyższe czynniki t. j. papież i panujący. W roku 1621., papież Grzegorz XV., spełniając gorące życzenie niezliczonych czcicieli Świętego wynosi dzień, czi jego poświęcony do rzędu świąt uroczystych, a jego następcy Urban VII. i Inocenty X. przeprowadzają uznanie tego zarządzenia we Francyi, Belgii. Cesarz Leopold I., wywiązując się z długu wdzięczności za narodziny następcy tronu, Józefa I. i za ocalenie Wiednia od nawały tureckiej, oddał wszystkie kraje rakuskie w opiekę św. Józefa i rozkazał obchodzić uroczystość w swem państwie święto zaślubin Józefa z Maryą. Klemens XI. ułożył modlitwy brewiarzowe na cześć Świętego i przepisał je dla całego Kościoła. Benedykt XIII. włączył na prośby Karola VI. i kilku zakonów imię św. Józefa do litanii wszystkich świętych. Tych zaś świętych zabiegów dokonał w w. XII. Pius IX., gdy uroczystość Opieki św. Józefa na cały Kościół rozszerzył, miesiąc marzec jego czi przeznaczył i w końcu św. Józefa patronem Kościoła powszechnego ogłosił. Stało się to w roku 1870. Teraz już całe doczesne królestwo Chrystusowe skłoniło się do stóp Józefa.

U nas w Polsce stosunkowo bardzo późno budzi się cześć Świętego. Dopiero bowiem pod koniec XVIII. wieku napotyka się w Polsce imię chrzestne „Józef“. Niema też długo w Polsce kościołów pod wezwaniem św. Józefa. Skoro atoli w wieku XIX. ta cześć wszędzie urastać poczęła, nie zaniedbała jej i Polska, a nawet wiele narodów w niej prześcignęła. Nabożeństwo polskich rodzin do św. Józefa stało się w ostatnich czasach tak powszechnem, że przeniknęło wszystkie warstwy społeczne i wybitnie się zaznaczyło w całym ich życiu religijnem. Tak Bóg chciał nagrodzić temu świętemu patryarsze to, że przez tak długie wieki nie zaznawał w całej pełni tej czi. Jaka mu się dla Jego cnoty i godności należała.

Alfons Ratisbonne.

Alfons Ratisbonne rodem żyd, był członkiem bogatej rodziny bankierskiej w Strassburgu, a bratem Teodora Ratisbonne, który został chrześcijaninem i gorliwym kapłanem. Alfons nie chciał o nawróconym swym bracie ani słyszeć, a ku wierze chrześcijańskiej pałał nienawiścią i pogardą, nie jakoby był żydem wierzącym, ale dlatego, że przesiąkły nowoczesnem niedowiarstwem, był wrogiem każdej wiary, a przede wszystkim tej, przeciw której już z mlekiem macie-

rzyńskiem wysłał owe uprzedzenia i ową gorycz swego narodu, jakeimi tenże przepełniony jest ku wrzekomym ciemiezcom swoim. Choć mu wiara żydowska zupełnie była obojętną, popierał ją jednak gdzie mógł, aby szkodzić wierze chrześcijańskiej. Krótko mówiąc, postępował wobec żydów tak, że ci mogli się cieszyć, iż Alfons wynagrodzi im mniemaną krzywdę, przez Teodora narodowi ich wyrządzoną.

A jednak ten sam Bóg, który niegdyś Szawła pionem swej łaski poraził, zlitował się nad młodym żydowinem i nad wszelkie spodziewanie uczynił z wroga, gorliwego wyznawcę wiary chrześcijańskiej.

Stało się to w następujący sposób: Alfons zaręczył się z jedną bogatą żydówką — a że ona była jeszcze bardzo młoda, miał cały rok czekać i podróżować. Według ułożonego planu podróży, miał z Marsylii przez Neapol i Maltę udać się na wschód, nie wstępując nawet do Rzymu. I rzeczywiście przybył do Neapolu i chciał właśnie zakupić miejsce na parowcu, który miał płynąć do Palermo. Ale sam nie wiedząc jak się to stało, kupił miejsce na wozie pocztowym, który jechał do Rzymu. Przybył tedy do wiecznego miasta 5 stycznia, ale z tem mocnem postanowieniem, aby się tylko pobieżnie Rzymowi przypatrzeć i wrócić do Neapolu. Jakoż w istocie zakupił miejsce na wozie pocztowym, który w nocy z 9 na 10 stycznia miał wrócić do Neapolu. Ale nim odjechał, uważał to za znak dobrego wychowania i grzeczności, oddać bilet wizytowy jednemu z przyjaciół swego nawróconego brata, baronowi Teodorowi de Bussieres, zięciowi francuskiego ministra wojny Humanna, który z luteranizmu nawrócił się i był bardzo gorliwym katolikiem.

Przychodzi tedy — ale że służący, który nie rozumiał po francusku, oświadczył, że pan sam jest w domu, i równocześnie drzwi otworzył, więc musiał pomimo woli, wstąpić do pokoju.

Bussieres przyjął go jako brata jednego ze swoich najszczerzych przyjaciół z największą uprzejmością. Rozmowa zaczęła się od pytania, jakieby wrażenie zrobiło na Alfonsa to, co widział w Rzymie. Alfons z największą obojętnością mówił o wszystkim — przyznał jednak, że kościół Ara coeli (ołtarz nieba) wielkie na nim zrobił wrażenie.

Od tej chwili powziął baron Bussieres, choć nie wiedział przyczyny, niepełną nadzieję, że Alfons się nawróci; a nawet tę samą nadzieję wyraził jawnie Alfonsowi — chociaż ten się opierał wszelkiemi siłami i mówił, że nigdy, przenigdy chrześcijaninem nie zostanie. Baron Bussieres zawiesił mu na szyję medalik Matki Boskiej Łaskawej, a Alfons z uśmiechem szyderczym go przyjął; będąc zaś pewny siebie, obiecał nawet odpisać sobie modlitewkę świętego Bernarda: „Pamiętaj o najdobrośliwsza“ — i jeszcze ośm dni w Rzymie pozostać.

Ale dłuższy pobyt w Rzymie zdawał się Ratisbonna tylko utwierdzać w nienawiści ku wierze chrześcijańskiej, a im więcej Bussieres starał się go nawrócić, tem więcej Alfons mu się opierał.

— Widzę, rzekł Alfons, że pan mnie chcesz nawrócić; ale daj pan temu pokój, bo się to panu nie uda; ja mojej religii nie zmienię, i właśnie teraz może więcej jestem żydem, jak kiedykolwiek.

Gdy razu jednego przechodzili obok Scała Santa, tj. świętych schodów, po których Pan Jezus był prowadzony do Pilata, zdjął pan Bussieres kapelusz i rzekł: „Pozdrawiam was święte schody; oto obok mnie idzie Izraelita, który was w krótkim czasie równie jak ja czcić będzie“.

Ratisbonne zaśmiał się na głos szyderczym uśmiechem.

Krótko mówiąc, choć Bussieres miał mocną nadzieję nawrócenia Alfonsa, według wszelkiego prawdopodobieństwa ani na krok w swem dziele nie postąpił, gdyż właśnie w tym czasie pisał Ratisbonne do swoich krewnych:

— Gdym żydowską część miasta al Ghetto zwiedzał, obudziła się we mnie jeszcze większa nienawiść ku chrześcijańskiej religii na widok nędzy i brudów, jakie tam spostrzegłem.

Już nadszedł ostatni dzień pobytu jego w Rzymie, i już zamówił sobie miejsce na wozie pocztowym do Neapolu, gdy idąc z pożegnaniem do p. Bussieres, spotkał go właśnie jadącego powozem. Bussieres mając załatwić sprawunek w kościele San Andrea delle Fratte, prosił Alfonsa, by z nim wsiadł do powozu, Rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych.

Wszedłszy do kościoła św. Jędrzeja, pytał Ratisbonne, dla kogo jest ten katafalk, który był właśnie wystawiony? Bussieres odpowiedział:

— Dla mego wielkiego przyjaciela, zacnego hrabiego de la Ferronais, byłego francuskiego prezydenta ministrów za ministerstwa Martignac'a, który się odznaczał wielką pobożnością. Na moje prośby jeszcze przed śmiercią modlił się za pana.

Właśnie z powodu jego pogrzebu miał p. Bussieres załatwić niektóre interesa i udał się do zakrystyi, prosząc Ratisbonna, by był cierpliwy i poczekał nań w kościele.

Po upływie może dwunastu minut powraca, ale nie znajduje Alfonsa. Aż wreszcie po długim szukaniu postrzeżę w kaplicy świętego Rafała, postać klęczącą z głową schyloną; przystępuje bliżej i ze zdziwieniem poznaje w niej Ratisbonna.

Woła go po imieniu — lecz żadnej nie odbiera odpowiedzi; uderza go po ramieniu — ale klęczący skrywszy twarz w dłonie, tak jest zatopiony, iż żadnego znaku po sobie nie daje; uderza go więc jeszcze kilka razy, a następnie podnosi mu głowę.

Alfons jest prawie nieprzytomny, łzy mu się leją potokiem, podczas gdy z miłością całuje medalik Matki Boskiej, który mu Bussieres zawiesił na szyi. Pierwsze słowo, jakie się wydobyło z ust wzruszonego Izraelity, było: „Ach jakże się modlił za mnie ten człowiek!“ (La Ferronais). Łkając, urywanemi tylko słowami mówił:

— Ach, jakże się czuję szczęśliwym! z jakiejże przepaści jestem ocalony! o moi nieszczęśliwi rodacy — za nic w świecie nie mógłbym teraz żyć bez chrztu — jestem chrześcijaninem! O gdybym mógł być umęczony za tę wiarę! Chrztu! chrztu!

Uparty żydowin stał się od razu pragnieniem gorliwym chrześcijaninem.

— I jakże się to stało? — zapytał Bussieres.

Lecz Alfons tylko przed kapłanem chciał to wyjawić. Tak tedy zaprowadził go Bussieres do Jezuity O. Villefort, gdzie Alfons klęcząc, pełen wzruszenia opowiadał, jak go w kaplicy zagnała jasność ogarnęła — a w tem świetle Matka Boska, przedziwnie wspaniała i wysoka postać pełna słodyczy się objawiła. Następnie rękami i znakami zachęcała go, aby się już dłużej nie opierał.

— Rzuciłem się potem na kolana, mówił dalej — a ona skinęła na mnie z uśmiechem zadowolenia, jak gdyby chciała powiedzieć: Tak dobrze, tak dobrze. W tem przyszedł p. Bussieres i przerwał moje widzenie. Matka Boska nic nie mówiła, ale ja wszystko rozumiałem.

Wszyscy, którzy się później zetknęli z Ratisbonem, oświadczają z największą pewnością, że Alfons w tem widzeniu poznał najzupełniej całość prawdy katolickiej i przejął się uczuciami katolickimi, tak, że chociaż się nigdy przedtem nie starał ani poznać wiary katolickiej, jednak myślał i czuł, jak najlepszy katolik. Przemiana jego była stanowcza do tego stopnia, że nawet roztropny i świątobliwy generał Jezuitów bynajmniej o niej nie wątpił.

W całej jego istocie przebijają się głębokie uczucie szczęścia, jakie go spotkało — najczulszej za nie wdzięczności i najżywszego współczucia dla swych rodaków, którzy tego szczęścia nie mają. Nie można było znaleźć żadnego zewnętrznego powodu, któryby go mógł skłonić do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Dlatego też nie wahano się udzielić mu już w jedenaście dni po nawróceniu tak upragnionej łaski chrztu św.

Sam kardynał Patrizj dokonał tego świętego obrzędu. Powaga rozlała na obliczu Alfonsa, wzruszenie, nad którym nie mógł zapanować, widok, jak go p. Bussieres trzymał pod ramię na stopniach ołtarza — nastroiło i obecnych do podobnego wzruszenia: gorące modły wzniosły się ku niebu za nawrócenie zbłąkanych — nawet obecni protestanci, porwani powszechnym uczuciem, poklękali.

Wzruszenie Alfonsa dosięgło najwyższego stopnia, gdy po chrzcie św. przyjął Komunię św., a zaraz potem Sakrament Bierzmowania; łzy obfite rozczulenia zwilżyły jego policzki, i nieraz p. Bussieres musiał go podtrzymywać, aby nie upadł z osłabienia.

Na znak wdzięczności za łaskę, jaką w najgłębszym przekonaniu swem otrzymał przez przyczynę Najśw. Panny, obrał sobie na chrzcie św. imię Marya.

Po chrzcie św. miał znakomity kaznodzieja francuski X. Dupanloup, przemowę do zgromadzonych. Między innymi powiedział te pełne pociechy słowa:

„Człowiek nie błąka się po tej ziemi opuszczony i bez pomocy — lecz miłosierny i dobrotliwy Bóg czuwa nad nim; On go szuka i swe ramiona ku niemu wyciąga. Tego dowodem jest ten oto nowo ochrzczony; przed kilku dniami jeszcze niewierny szyderca, a dziś go oko Beskie na bezdrożach znalazło, rozum jego oświeciło i serce jego zmiękczyło — a wreszcie w wierzącego chrześcijanina zmieniło. Dziś Abraham pobłogosławi syna swego. Ta, co mu tę łaskę wyświadczyła, jest Matka łaski pełna, nasza Matka i siostra: Matka, gwiazda morza, Marya — najśłodsze na ziemi imię, pełna pociechy i litości“.

Następnie zwracając się ku Alfonsowi Maryi, przypomniał mu, że z krzyżem i z imieniem Maryi, w Rzymie stolicy zastępcy Chrystusa, wstępuje do Kościoła — że ów krzyż, który przedtem prześladował, nadal uwielbiać i nosić powinien. „Kościół jest zawsze wojujący, zawsze tryumfujący — w jego walkach, cierpieniach i pracach bierz udział, abyś z nim tryumfował“.

Wkońcu zwracając się do Najśw. Panny, modlił się ze św. Bernardem:

„Pomnij o najlitościwsza, na Twe zbłąkane dzieci, pomnij na Francję i Kościół w niej wojujący, wysłuchaj modłów dusz wiernych, zmiękcz i oświeć serca zbłąkanych i odszczepionych braci, i pozwól im przyjść do poznania Ciebie, aby była jedna owczarnia i jeden pasterz“.

Wskutek tego nawrócenia nastąpiły i inne. Alfons Marya Ratisbonne pobudził jednego protestanta i protestantkę do powrotu na łono Kościoła katolickiego, usunąwszy ich wątpliwości z pewnością i siłą uczono-teologa. Pewien katolik, który już od 30 lat za-

niedbał praktyk religijnych, powrócił do nich z całą gorliwością. Jakąż radością przepełniło się serce X. Teodora Ratisbonne, gdy ujrzał swego brata jakoby drugiego Pawła nagle zmienionego i tą samą wiarą z sobą złączonego!

Do swej narzeczonej, którą zostawił w Strassburgu, napisał list następującej treści:

„Ja dotrzymam mego przyrzeczenia, jeśli chcesz zostać katoliczką; jeśli się zaś na to zdecydować nie możesz, to odbędę pielgrzymkę do Jeruzalem, aby się na grobie Zbawiciela pomodlić, a potem wstąpię do klasztoru. Gdyby mnie jeszcze przed ośmiu dniami jakie nieprzewidziane nieszczęście zmusiło, by się z tobą rozłączyć — nie byłbym miał tej odwagi — byłbym sobie życie odebrał. Jeśli mnie zaś teraz moja wiara z tobą rozłącza, przynoszę Bogu tę ofiarę, ani łzy nie urońniesz, i przez całe życie modlić się będę, aby cię Bóg oświecił i na wieki w niebie ze mną połączył“.

Skutki powołania pod broń francuskiego duchowieństwa.

Życie religijne we Francji poniosło niemałą szkodę wskutek powołania księży. Jedenaście roczników stoi dzisiaj pod bronią, a dalszych piętnaście użyto do obsługi chorych, nikogo nie uwzględniając. We Włoszech przynajmniej uwolniono biskupów, tu, chociaż te same prawa obowiązują, nie pominięto dostojników Kościoła.

Pocieszano się wprawdzie, że w ten sposób żołnierze nie będą pozbawieni pomocy religijnej, a umierający ostatnich Sakramentów, ale słusznie profesor uniwersytetu z Lill Michel ostrzega w swoim artykule w „Revue pratique“ przed złudną w tym względzie nadzieją; podaje przytem smutny stan kościołów parafialnych pozbawionych proboszczów. Czytamy tam, że księża będący na froncie tak są zajęci, że nie mają ani chwili wolnej dla niesienia pomocy duchownej, ciągle zaś obcowanie z żołnierzami sprawiło, że ich kapłański charakter poszedł w zapomnienie. Co się tyczy księży zajętych po szpitalach, mylą się, niestety, ci którzy sądzą, że sama ich obecność wystarcza do poszanowania rzeczy świętych; są oni tam wszyskiem tylko nie kapłanami.

W smutnych barwach przedstawia prof. Michel stan parafii, gdyż w niektórych dyecezyjach większa połowa pozbawiona jest pasterzy. Jeden ksiądz musi obsługiwać cztery albo pięć parafii. W niedzielę miewa Mszę św. w dwóch kościołach, tym sposobem po wielu parafiach Msza św. wypada co 2 tygodnie. Z udzielaniem Chrztu św. może sobie jeszcze poradzić, ale do umierających zwykle za późno przychodzi; święta, niedziele, i katechizacje zupełnie są zaniedbane, a spowiedź i komunia św. stała się niemożliwą. To też coraz więcej samobójstw i coraz więcej ofiar zdziczenia obyczajów.

Zdawało się w początkach wojny, że brak kapłanów i służby może wzbudzi w sercach tęsknotę za kościołem, ale prędko się oswojono z obecnym stanem rzeczy i dzieci już wcale na katechizm nie przychodzą. Obojętni coraz rzadziej zaglądają do kościoła, a wierzący szemrają i narzekają. Życie religijne po wsiach i miastach Francji zupełnie zamarło,

Spowiedź św.

— Wszak sam Bóg tylko może odpuszczać grzechy — rzekł pewien młodzieniec, który już nadto pił z kielicha rozkoszy ziemskich, do kapłana, radzącego mu, by się pojednał z Bogiem i otrzymał grzechów odpuszczenie.

— Bez wątpienia, rzecze kapłan. A któż pana kiedy inaczej uczył? Wszak ja nie mówię, aby panu człowiek odpuścił grzechy, ale Bóg. Gdy Pan Jezus żył na świecie wśród żydów, uczyniono Mu ten sam zarzut. A Pan Jezus co na to? Odpowiedział im w sposób jasny i krótki a mimo to bardzo przekonujący. Jak pan wiesz, chodziły za Boskim Zbawicielem tłumy ludu. Jednego dnia przyniesiono Mu człowieka powietrzem ruszonego i postawiono go przed Nim, leżącego na łożu. Widząc taką wiarę, rzekł Pan Jezus: „Synu, odpuszczają się tobie grzechy twoje“. A pisarze i faryzeusze myśleli w samych sobie: Ten człowiek bluźni! Któż może odpuścić grzechy, jak tylko sam Bóg? A Jezus widząc w myśli ich, odpowiedział: „Cóż myślicie w sercach waszych? Cóż jest łatwiejszego rzec: odpuszczają się tobie grzechy, czyli rzec: Wstań i chodź? Lecz abyście wiedzieli, iż Syn człowieczy ma władzę na ziemi odpuszczać grzechy, rzekł ruszonemu powietrzem: Tobie mówię wstań, weź łożo twoje, idź do domu twego. A natychmiast wstawszy przed nimi, wziął łożo, na którym leżał i poszedł do domu wielbiąc Boga“. (Łuk. V. 20—25).

Syn człowieczy zatem miał na świecie władzę odpuszczania grzechów, a ta władza była władzą Bożą. Otóż kapłan prowadzi dalej dzieło Jezusa Chrystusa na ziemi; ma zatem władzę odpuszczania grzechów; a ta władza nie jest inną, jak tylko władzą Bożą.

Czyż podobna o tem wątpić, przeczytawszy uważnie księgi święte? Znajdziemy w nich owe znaczące słowa Jezusa Chrystusa, wyrzeczone do Apostołów i ich następców w Apostolstwie: „Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie a cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie“. (Mat. 18, 18). Tę samą prawdę wyraził Pan Jezus i w następujących słowach jeszcze dobitniej: „Jako mnie posłał Ojciec i ja was posyłam. To rzekłszy techał na nich i rzekł im: Weźmijcie Ducha św., którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane“ (Jan XX, 21, 23). Władza to cudowna i iście Boska, mocą której grzechy, chociażby były czerwone jak szkarłat, stają się białe jak śnieg, według słów Izajasza proroka (1, 18).

— Nie wątpię o tem, że Pan Jezus ma władzę odpuszczania grzechów, gdyż swej władzy dał dowód przez wszystkie cuda, które zdziałał: lecz jakimże sposobem da dowód swej władzy?

— Jakim sposobem? Oto tym, że dalej prowadzi dzieło Chrystusowe, tj. pracę nad dusz zbawieniem; gdyby tylko samemu sobie Chrystus Pan zachował był władzę odpuszczania grzechów, posłannictwo Jego nie miałoby dla nas najmniejszego znaczenia i możnaby je uważać za niebyłe. Następnie daje kapłan dowód swej władzy, wskazując na niezliczone cuda, zdziałane przez 18 wieków na dowód prawdziwości tej wiary, którą on głosi. Dowodzi jej cudem ciągle trwającym — zachowania i rozszerzania się tej wiary, której on naucza, a z której, jak niegdyś, z osoby Pana Jezusa, wynika władza Boska, która leczy ludzi z chorób moralnych. Skoro bowiem kapłan wyrzeczże słowa rozgrzeszenia, człowiek przystępujący z należytym usposobieniem, czu-

je się uleczonym ze wszystkich swych chorób moralnych, wstaje natychmiast, targa więzy grzechów, wstępuje do nieba i błogosławi Pana!

— Dziwi mnie to, jak Bóg mógł udzielić takiej władzy, prostemu jak ja, człowiekowi!

— Czyż Pan Bóg nie jest wszechmocny? Czyż nie jest panem wszechwładnym swych darów? Czyż ich nie może udzielać, jak Mu się podoba? Czyż pan nie spozstrzeża, że udzielając swej władzy Bożej człowiekowi, dał Bóg najlepszy dowód łaskawości swej ku nam? Bóg widział, jak jesteśmy słabi i winami obciążeni, na jakie niebezpieczeństwa codzien wystawieni, jak bardzo potrzebujemy litości i wyrozumiałości i dlatego, zamiast nas powoływać przed tron swego Majestatu, aby nam udzielić rozgrzeszenia, chciał nas odesłać do ludzi, słabych jak my i nieraz więcej ułomnych jak my, wystawionych na te same walki i upadki, potrzebujących tak samo litości i wyrozumiałości jak my.

— Lecz ja się codziennie przed Bogiem spowiadam — na cóż mam jeszcze grzechy moje ludziom opowiadać?

— Na co? Bo Pan Bóg tak rozkazał. Kapłan nie mocą swoją, ale mocą i władzą Bożą odpuszcza grzechy. I bardzo dobrze, że tak rozkazał! Gdybyś się pan sto razy na dzień Bogu spowiadał i, co mówię, choćbyś pan wszystkim ludziom swe grzechy opowiadał chociażby z żalem: a kapłanowi na spowiedzi nie chciałbyś wyznać swych grzechów, żyłbyś pan w ciągłym niepokoju, nie miałbyś żadnej pewności, ani znaku, że panu Bóg grzechy odpuścił; lecz skoro pan przystąpisz do spowiedzi i szczerze wyznasz grzechy — uczuwasz tak błogi pokój, że prawie masz pewność, iż Bóg panu przebaczył. Dlatego też i protestanci na zjeździe swym w Dreźnie tak zawyrokowali:

„Spowiedź sekretna i absolucya są koniecznie potrzebne do odpuszczenia grzechów. Ponieważ spowiedź ma za cel absolucję, ta ostatnia powinna być punktem środkowym, obok którego wszystko się obraca, gdyż ona zamyka w sobie władzę uświęcenia dusz“.

— Przecież ja nieraz słyszałem i czytałem, że spowiedź wynaleźli księża!

— I pan w to wierzyłeś? Naturalnie, że w takie rzeczy łatwo się wierzy, bo są bardzo wygodne. Ale tak nie jest, gdyż już pierwsi chrześcijanie za czasów apostoelskich się spowiadali: „A wiele wierzących przychodziło, spowiadając się i opowiadając uczynki swoje“. (Dzieje Ap. 19, 18).

Księża nie wynaleźli spowiedzi — bo gdyby tak było, toby przynajmniej należało dowieść, kiedy, gdzie lub kto wynalazł spowiedź; a tego nikt nie czyni i nie uczyni.

— To łatwo. Oto na Soborze Laterańskim, Papież nakazał spowiadać się.

— To prawda, że na Soborze Laterańskim była mowa o Spowiedzi: ale tam jej nie wynaleziono. Rzecz tak się miała: Ponieważ wierni odstępili od pierwotnej gorliwości i nie uczęszczali, jak to dawniej bywało, do Sakramentów św. całymi latami, przeto Kościół nakazał im spowiadać się przynajmniej raz na rok i około czasu wielkanocnego przyjmować Najśw. Sakrament. Czy to znaczy wynajdywać spowiedź? — to znaczy tylko ograniczyć czas, poza który spowiedzi odkładać nie można bez nowego grzechu. Zresztą, gdyby księża wynaleźli spowiedź, toby sami uwolnili się od tego ciężaru i nie spowiadali się; a jednak księża często się spowiadają. Wreszcie, gdyby księża wynaleźli spowiedź, toby sami na siebie największy ciężar włożyli. Pewien gorliwy misjonarz, który całymi dniami przesiadywał w konfesyjone, rzekł raz na kazaniu:

„Gdyby kto z was myślał, że księży wynaleźli spowiedź, niech idzie ze mną; ja go zamknę w konfesyjale; niech tam spędzi nie mówię, połowę swego życia, jak my — ani nawet miesiąc, ani tydzień — ale tylko dwa lub trzy dni, a skoro doświadczy tylko część tego umęczenia wszelkiego rodzaju, jakiego my doświadczamy, ręczę wam, że nie powie drugi raz, iż księży wynaleźli spowiedź“.

Gdyby nawet księży chcieli zaprowadzić spowiedź, nie udałoby im się; gdyż zewsząd, nawet ze strony księży, powstałyby protesty i krzyki na tak wielki ciężar. Żli sprzeciwialiby się postanowieniu spowiedzi, jak i dziś się sprzeciwiają z powodu, że spowiedź krępuje ich namiętności; dobrzy jeszcze bardziej z powodu nowości. „Na co na nas nakładać nowy ciężar, którego ojcowie nasi nie dźwigali i do któregośmy nie przywykli? Po co tej innowacyi, po co zmieniać religię Chrystusa Pana? A chociażby się udało temu lub owemu nakłonić do spowiedzi kilka dusz prostych i niewykształconych, czyżby to podobnym było uczynić w całej parafii, całej diecezji, w całym świecie — kiedy teraz nawet tak trudno jest nakłonić wielu do wyznania swych grzechów? Protestanci na zjeździe w Dreźnie orzekli, że „spowiedź jest konieczna do dostąpienia rozgrzeszenia;“ ale któż się u nich spowiada sekretnie pastorowi? Jakże się mogło udać kilku nowatorom wprowadzić ją w życie na całym świecie?

— Ale kapłan zachowa on sekret spowiedzi?

— Dziwne pytanie! A lekarz zachowa on sekret twoich chorób? A przyjaciel, któremu twe serce otwierasz i całe twe szczęście mu powierzasz, dochował on ci sekretu? A jednak zwierzasz się i szukasz kogoś, przed którymbyś wylał całe twe serce i nie boisz się, aby cię nie zdradził. Ze kapłan nie wyda cię ze sekretu, nie wspomnę ci o świętym Janie Nepomucenie i o tych innych zacnych kapłanach; opowiem panu tylko o wypadku z czasów rewolucyi francuskiej:

Między tymi okrutnymi mordercami znajdował się na zebraniu pewien kapłan — odstępeca. Towarzysze zebrania postanowili sobie wydobyć z ust odstępcy sekret spowiedzi, dawniej słuchanych. Upoili go tedy i sami się popili.

— Doprawdy, musimy mieć ten deser, bo inaczej braknie nam czegoś do tej uczyt równości i braterstwa.

Apostata milczał.

Po chwili rzucili się nań z wściekłością i grożąc mu pięściami, wołali ochryplym głosem:

— Musisz powiedzieć, albo użyjemy przemocy;

Oburzenie apostaty weszło, jak rwiący potok.

— Dobrze, użyjcie przemocy! — odrzekł głosem grzmiącym i rzucał na nich piorunującym wzrokiem. Potem wyjąwszy sztylet i przytknąwszy go ostrzem do piersi swoich zawołał:

— „Możecie ten sztylet utopić w mem sercu, ale z tego serca nie wydobędziecie sekretu spowiedzi! To sekret Boga!“.

To rzekłszy, odszedł z tej jaskini zbójckiej.

Wniosek sam pan uczynisz. Jeśliby kapłan łamał sekret spowiedzi, toby milionów ludzi nie oblegało konfesyjonałów. I w tem masz pan dowód, że to Boskie ustanowienie, nie ludzi wymysł.

— Niech i tak będzie; ale z czegoż ja się mam spowiadać? Nie zabiłem, nie ukradłem, nie podpaliłem nikogo, nie mam sobie nic do wyrzucenia!

— Toś pan święty; ale jakiś dziwny święty, bo święci bardzo często się spowiadali i zawsze mieli

z czego się spowiadać; a wiesz pan dlaczego? bo lepiej poznawali P. Boga, grzechy, i lepiej wglądali w swe własne sumienie; badali swoje myśli, uczucia, mowy, uczynki nawet dobre i wszędzie znajdowali braki, niedoskonałości; bo patrzyli na się w świetle wiary. Podobnie, jak na sprzęty codzien pył przypada i codzien go trzeba zmiatać, tak i na duszę pył błędów opada. Gdy promyk słońca wpadnie do pokoju, widzimy cały rój pyłu i zda się, że niepodobna nam oddychać; lecz gdy słońce się usunie, zda się, że ani jednego pyłku tam niema i że wszystko czyste. Otóż i w duszy tak samo; gdy w niej ciemno, zda się, że wszystko dobrze — ale gdy promyk wiary i łaski Bożej padnie na duszę, pozna całą złość i niewdzięczność swoją ku temu nieskończenie dobremu Bogu i w żalu się rozplywa. A zresztą pan mówisz, żeś nie ukradł, nie zabił, nie spalił; to dopiero piąte i siódme przykazanie — a Pan Bóg dał ich dziesięć; a przytem jest pięć przykazań kościelnych, obowiązujących pana jako katolika; nadto siedm grzechów głównych, obowiązki stanu, uczynki miłosierdzia, do których jesteśmy w miarę możności obowiązani. Przejdź pan spokojnie te wszystkie przykazania a zobaczysz pan, ile się tam grzechów nabierało i podziękujesz Panu Bogu z głębi serca, że człowiekowi dał moc odpuszczania grzechów.

Gdy kapłan to mówił, młodzieniec ów zakłopotał się nieco, uznał, że nie jest tak doskonałym, jak mu się zdawało; spuścił oczy ku ziemi i posmutniał. Kapłan zaś tak kończył:

— Wreszcie i to powinno pana przekonać o Boskiem postanowieniu spowiedzi, że ci tylko przeciwko niej powstają, którzy albo niskim i brudnym namiętnościom ciała dogadzają a nie mają odwagi odmówić sobie tych rozkoszy; albo ci, co cudze dobro niesprawiedliwie posiadają a oddać go nie chcą; albo w gniewie i nieprzyjaźni żyją a pojednać się nie mają ochoty; albo wreszcie pijaństwu i obżarstwu oddani, którzy wybrnąć z tych występków nie chcą. Ktokolwiek zaś po weźmie doczekać się dnia, w którymby mógł pojednać się z Bogiem. I panes się przecież w młodości spowiadał i przyznać musisz, żeś był daleko lepszym wtenczas.

— Prawda, prawda!

— Więc cóż? będziemy się spowiadać?

Zawahał się nieco młodzieniec; lecz po chwili uścisnąwszy dłoń kapłana, rzekł:

— Słowo, że odtąd będę się spowiadał! Nieraz mnie o to matka prosiła — jam ją zbywał, bo już dawno nie byłem u spowiedzi; ale teraz wraz z nią przystąpię do spowiedzi i wielką jej sprawię pociechę.

— Chwała Bogu, rzekł kapłan, i pożegnał go.

Pierwsza matka.

Troje lubych dzieciak: dziewczynka mająca lat dziewięć, druga dziesięć i chłopczyk dwunastoletni, rodzeństwo sehludne, grzeczne, nadzwyczaj miłe, widocznie z miasta, stało sobie w Cartle-Garden w Nowym Jorku w Ameryce i żywo rozminawiały z czwartym chłopczykiem, jakby mali filozofowie. A o czymże? Oto, o obrazkach i książeczkach, które co dopiero od protestanckich pastorów dostały.

— Ja jestem ewangelikiem, — mówił czwarty chłopczyka do owych trojga dzieciak — wy nie jesteście ewangelikami; wszak wy katolicy?

— Tak, tak, my katolicy — rzekło rodzeństwo, — ale teraz będziemy ewangelikami!

Ja stałem w pobliżu i z przyjemnością uważałem na to ciekawe towarzystwo maleców, gdy mnie ostatnie te słowa, wychodzące z tych ust dziecinnych, bardzo zdziwiły. Zbliżyłem się tedy i zapytałem:

— Więc wy jesteście katolicy, moje dzieciaczki?

Sześć niewinnych oczek zwróciło się ku mnie, podczas gdy słodki uśmiech igrał na ich rumianych i czerwonych twarzyczkach.

— Tak, my jesteśmy katolicy.

— Ale cóż to znaczy, — zapytałem — żeście dopiero co powiedziały, iż teraz będziecie protestantami?

— Bo nasi rodzice są protestanci — była odpowiedź, a teraz i my musimy zostać protestantami.

Ciekawość moją podrażniły te ostatnie słowa jeszcze bardziej.

— Jakto? wasi rodzice są protestantami — a wy katolicy? Jak się to stało?

— Bo nasza pierwsza mama była katoliczką — odrzekły chórem: ale nasza druga mama jest protestantką. Dotychczas byłyśmy u babci, która jest katoliczką — a teraz posłał po nas tatko, i musimy zostać protestantami.

— Ja, ja zostanie katoliczką — rzekła dziesięcioletnia dziewczynka. I jakby chciała bratu uczynić wyrzut, dodała:

— On dopiero w tym roku był u pierwszej Komunii św.

Chłopczyk zakłopotany, spuścił oczy ku ziemi.

— Ja, i ja także chcę zostać katoliczką — zawołała najmłodsza dziewczynka, i skakała z radości spozstrzegłszy, że mi te słowa sprawiły radość. Potem wyjęła z kieszonki małą protestancką biblię, czerwono oprawną, którą dopiero co dostała i rzekła:

— Dostałam taką piękną książkę do nabożeństwa — i pokazywała ją z radością. A misjonarz katolicki O. Roulaad, nie miał ani jednej książeczki, by biednym dziatkom dać na pamiętkę; gdyż środki, jakimi stowarzyszenie św. Rafała rozporządza, nie pozwalają na to. Ale dał, co miał: katolicki tygodnik, i żegnając się, powiedział:

— Dzieciaczki, tylko pozostaniecie katolikami!

— O tak, tak, zostaniemy — zawołały dziatki jednym głosem.

Jakże pięknie można słowa tych dziatek: „Nasza pierwsza mama była katoliczką“ — włożyć w usta tych wszystkich, co się zowią chrześcijaninami! I lutrzy i kalwini i anglikanie i szymatycy, mogą i powinni powiedzieć: „Nasza pierwsza matka, Kościół, była katoliczką“. Przodkowie protestantów, szymatyków i innych sekt, byli katolikami, byli dziećmi pierwszej matki: katolickiego Kościoła; dopiero drugie matki, czyli raczej macochy, oderwały ich od prawdziwej Matki, którą jest Kościół katolicki — na fundamentie Apostołów zbudowany.

Piękna jest w tej mierze odpowiedź hrabiego Stolberga, który z protestantyzmu powrócił na łono Kościoła katolickiego.

Pewien protestancki książe rzekł do Stolberga:

— Nie lubię tych, co zmieniają religię.

— I ja także, — odrzekł szlachetny hrabia; — bo gdyby moi przodkowie nie byli zmienili religii, to bym nie był zmuszony powracać do katolicyzmu. Protestant, który zostaje katolikiem, nie zmienia religii; on wraca tylko do tej, którą jego przodkowie nieślusnie porzucili.

Niemniej trafnie odpowiedział pewien katolik, o-

siadły między protestantami. Gdy go bowiem pytano, czy go to nie boli, że jego popioły, gdy umrze, zmieszają się z popiołami tych, których on za heretyków uważa, odrzekł:

— Bynajmniej; będę tylko prosił, aby mi grób nieco głębiej wykopano — wtenczas moje popioły złączą się z popiołami katolików.

Poważna troska o brak kapłanów po wojnie.

Episkopat katolicki z troską patrzy w przyszłość, bo widzi, że po wojnie zwiększy się praca duchowieństwa, a tymczasem zanosi się na to, że może zabraknąć pracowników. We Francji już w pierwszym roku wojny z okazji powołania duchownych biskupi trwożnie pytali, jak wypełnić potrafią powstałe luki, padło już podobno 3.500 księży. I w Niemczech gazety i czasopisma rozważają tę tak ważną dla Kościoła sprawę uzupełnienia braków w szeregach duchowieństwa. W Rzeszy nie powołano kapłanów i kleryków z wyższymi święceniami (dyakoni, subdyakoni) do szeregów, tylko w myśl postanowienia ministryum z 27 lutego 1915 wezwano teologów do służby z bronią w rękę. Jak centrowa gazeta oblicza z liczby 3352 katolickich teologów powołano 2832 tj. 84.5%, padło zaś 450, a więc tylu już straconych dla kapłaństwa. W 10 seminariach i liceach bawarskich liczone przed wojną 965 wychowanków, teraz tylko 143. wüzburgskie musiano zamknąć dla braku kandydatów. We Wrocławiu z 291 zapisanych teologów, powołano 231, z czego już padło 41. Samych bawarskich teologów padło i zaginęło już 142, „to są zastraszające cyfry—powiada cytowana gazeta, zwłaszcza gdy się zważy, że wymagania stawiane duszpasterzom wzrosną po wojnie w nieproporcjonalny sposób“. Wielu z tych co wrócić straci powołanie, bo służba wojskowa nie jest odpowiednim okresem przygotowawczym do kapłaństwa i poświęci się innym zawodom, tembardziej, że otworzą się nowe, materialnie rzecz oceniając, korzystniejsze placówki. I chociaż gdy chodzi o kapłaństwo względny materialny nie powinny wchodzić w grę, to przecież trzeba brać w rachubę, że na niejednego one podziałają. Wszyscy teologowie potrzebować będą dyspenzy papieskiej, odroczyć im trzeba będzie święcenia, by się mogli przygotować, a tu praca wielka i pilna czeka. Dlatego też wzywa prof. Triebs, by zwracać się do odpowiednich władz o większe uwzględnianie reklamacji, bo państwu dla którego praca duszpasterska jest prosto „interensem życiowym“ nie powinno jej uregulowanie odpowiednio być obojętnem. I na inny jeszcze moment zwracać należy uwagę.

Każdy, który rozlewa krew, choćby nawet w obronie własnej, ma według przepisów Kościoła zamkniętą drogę do kapłaństwa. Racya jest ta, że kapłan ma przedstawiać w swej osobie Chrystusa łagodnego, który potępiał rozlew krwi. (Mat. 26, 52). Kościół więc żąda zwolnienia swych sług od służby z bronią, opierając się na pojęciu kapłaństwa ofiarującego, błogosławiącego i poświęcającego według wzoru Boskiego arcykapłana Chrystusa“. O wystawieniu 2 „czarnych“ regimentów (bo tyle dalaoby się wziąć z Niemiec) historia nawet nie wspominałaby, ale „zaszczytną poświęci ona kartę klerowi — chociaż, a raczej lepiej powiedziawszy dlatego, że nie walczył z bronią w rękę za ojczyznę, lecz spełniał urząd kapłański w duchu Chrystusa“, pocieszając, dźwigając zgnębionych i gojąc rany zadane przez wojnę.

Nie traćmy nadziei.

Obecna wojna okazała dowodnie, jak człowiek mało znaczy bez Boga. Wszakże zdobycze na polu wynalazków technicznych obróciły się teraz na zgubę milionów walczących ze sobą; zawiodły szumnie brzmiające hasła postępu; pustemi jeno słowami okazało się to, na co z taką zarozumiałością liczyła nowoczesna zaufana we własne siły kultura, oczekująca nadzwyczajnych wyników od wykształcenia, które niosła w świat szeroki. Co warty te hasła, najlepiej okazało krzyczące deptanie prawa międzynarodowego przez brutalne czyny gwałtu, których codziennymi prawie jesteśmy świadkami. Jak niegdyś pod wieżą Babel, w śmiesznym szale wielkości, ludy pragnęły unieśmiertelnic swe imię bez, a nawet wbrew Bogu, tak dzisiejsze narody europejskie, odurzone kulturą, chciały stać się wielkimi bez Boga. Dlatego podał je Bóg na wolę pożądlivosti ich, zaczęły działać według upodobania swego — i głupieci okazały się w zamysłach swoich. Ludzkość bez Boga będzie zawsze grabarzem swojej własnej urojonej wielkości. Jakkolwiek zatem zbyt ufnosć we własne siły jest niedorzecznością, trzeba jednak z drugiej strony wystrzegać się niechrześcijańskiej małoduszności, należy opierać się w tych dniach nawiedzenia uczuciom, rozpacz, unikać szemrania i podnoszenia zarzutów przeciw Bożej dobroci i miłosierdziu. Przdewszystkiem jednak nie naśladujcie tych bezbożnych, którzy znudzeni życiem, nie wierząc w lepsze życie przyszłe, folgują swoim najniższym namiętnościom, wołając: „Jedźmy i pijmy, bo jutro nas nie będzie“. Nie chodźcie w ich ślad, drodzy Chrześcijanie! Jak bowiem bez wiary nie można być zhabionym, tak bez nadziei nie można znaleźć szczęścia. Wszak nadzieja jest jedynie praktycznym zastosowaniem wiary, która nas zapowiada, że wszechmocny Bóg może uspokoić i szalejącą burzę wojenną i położyć kres nędzy. On w Swojej dobroci większą pieczołowitością nas otacza, niż matka swą dziecinę. „Bo czyż może matka zapomnieć o swoim dziecięciu; i nie ulitować się nad synem swego łona? A chociażby nawet ona zapomniała o niem, Ja jednak nie zapomnę o tobie — mówi Pan“. (Iz. 49, 15). (Z listu wspólnego XX. Arcybiskupów i Biskupów Austrii).

Obecność Boska.

Jest to niestety smutnym faktem, że bardzo wielu Chrześcijan bez należytego nabożeństwa i uszanowania na Mszy św. się zachowują. Ich postawa i zachowanie się wcale nie pozwalają wnosić, że się znajdują przed tronem nieskończonego majestatu; a jednak nawet niewierny czuje w obecności naszego Boga na ołtarzu ukrytego, dreszcz tajemniczej przytomności Stwórcy swego, który go zmusza uklęknąć i ukorzyć się przed nieznanym sobie Bogiem. Za dowód nich posłuży następujące opowiadanie nawróconego Turka:

— Jako członek poselstwa naszego sultana, na dworze jednego panującego, przebywałem przez niejaki czas w Rzymie. Na jednej z przechadzek szedłem obok bramy kościoła św. Piotra i dla zabicia czasu wstąpiłem do tego wspianego domu Bożego. Zrazu nie mogłem we Mszy, która się właśnie rozpoczęła, zasmakować, bo mi się jakoby jaka dziecinna zabawka wydawała. Kapłani chodzili z jednej strony ołtarza na drugą, kadzili kadzielnicami i czynili rozmaite ukłony. Krótko mó-

wiąc — niepodobało mi się. Ale im dalej czynność święta postępowała, tem żywiej owładało mną uczucie, jakiego aż dotąd nie znałem. Czy to postawa modlącego się tłumu na mnie tak głębokie czyniła wrażenie? Nagle usłyszałem głos małego dzwonka; nastąpiła cisza głęboka, nawet ci, co byli najbardziej roztargnieni i nieuważni upadli na kolana, schylili głowy i bili się w piersi.

Wtem wpadły mi na myśl, sam niewiem jak, owe słowa Pisma św.:

— Mojżeszu, zdejm obuwie, bo miejsce na którem stoisz, święte jest.

W jednej chwili upadłem na kolana i połączyłem modlitwę z modlitwą wiernej rzeszy. Cóż to było, co na mnie w owej chwili tak potężnie podziałało? Nie słyszałem ani śpiewu czarującego, ani kazania porywającego; tylko uroczysta cisza była wokoło mnie, przerywana dźwiękiem małego dzwonka. „Cóż to było, co do mnie tak potężnie przemawiało?“ — zapytałem nazajutrz katolickiego kapłana.

— To była obecność Boska, mój synu, — odrzekł tenże głosem pełnym głębokiego uszanowania; — Bóg sam był, choć przed twemi oczyma ukryty, na owym ołtarzu obecny, choć głosu Jego cielesnymi uszami nie słyszałeś. On mówił do twego rozumu i do twego serca. On cię wezwał, abyś otworzył oczy i myślał. On ci się kazał domyślać, że na owym ołtarzu coś wzniesłego się odbywa, czego ani ty, ani zebrana rzesza nie mogła spostrzedz, a jednak w to wierzyła niewzruszenie.

Czułem w głębi serca prawdę tych słów, ale duch mój uparty burzył się mocno przeciw tej prawdzie: wreszcie łaska zwyciężyła, a ja zażyłem szczęścia, z milionami katolików pobożnych, mogąc Bogu pod postacią chleba ukrytemu moją cześć oddać.

Czyżby to było możliwe, na Mszy św. bez pobożności i uczciwości być przytomnym, gdybyśmy pamiętali, że Syn Boży we własnej osobie obecny jest na ołtarzu i ofiarę swą krzyżową w sposób bezkrwawy ponawia?

Miłość chrześcijańska.

Jeszcze nigdy może nie była tak potrzebna miłość, jak w tym czasie rozszalałej nienawiści między narodami i bezwzględnego samolubstwa.

Nie złorzeczmy naszym nieprzyjaciołom! Raczej módlmy się za naszych wrogów, aby Pan zdjął bielmo z ich oczu, usunął twardość z ich serc. Nie trwała nienawiść winna być gorzkim owocem wojny, ale ów pokój przepowiedziany przez Izajasza proroka, (11, 6), w którym „wilk z jagnięciem w zgodzie odpoczywał będzie“. Niech sercami naszymi nie włada zimne samolubstwo, które rwie się do nieuczciwego a obfitego wojennego zysku. Takie samolubstwo jest grzechem wołającym o pomstę do nieba, a Psalmista (108, 16) przeklina go słowy: „Przeto, że nie pamiętał czynić miłosierdzia — ale prześladował nieszczęsnego i biednego: człowieka zbolalego serca, aby go zamordował, dzieci jego niechaj zostaną sierotami; a żona jego wdową. Niech się tułają dzieci jego błędne, a niech zebrają: niech będą wyrzucone z mieszkań swych“.

Lichwiarze czasu wojennego są gorszymi wyrzutkami społeczeństwa, niż nawet ci zwyrodniali ludzie, którzy obrabowują poległych na polu walki. Podnoszący niesumienne ceny są podłymi judaszami, gotowymi zdradzić najhaniebniej swój naród, swoją ojczyznę, ludzkość nawet samą. Czyż nie jesteśmy człon-

kami jednego ciała, które wzajemnie powinny sobie przynosić ulgę i pomoc? Nie wolno przeto rozbudzać nienawiści pomiędzy poszczególnymi warstwami społeczeństwa, nie wolno zbrodnictwo wprowadzać rozdzwiku między wieś a miasto. Raczej niech anioł miłości chrześcijańskiej przebiega niejśmia nędzy i smutku, a jego poprzedniczką niech będzie wiara i nadzieja. Pole, na którym miłość działalności swą rozciągać może, zaczyna się na polach walk, a kończy w miejskich mieszkaniach piwnicznych. Ta miłość nie pyta o narodowe pochodzenie, ni o stanowisko, ale patrzy jedynie na krwawiące rany, na policzki wybladłe od głodu, na ręce sterane pracą. Ona ma serce macierzyńskie dla złamanej w smutku wdowy, współczucie dla płaczącej sieroty, pomoc dla bezradnej rodziny robotniczej. Chrześcijańska miłość nie czeka na zapłatę, nie myśli o zaszczytnym uznaniu; jej nagrodą jest dobra i potrądzona i kopiasta miara, którą odda Ten, co powiedział: „A ktobykolwiek dał się napić jednemu z tych najmniejszych kubek zimnej wody, tylko w imię ucznia: zaprawdę powiadam wam, nie straci zapłaty swojej“ (Mat. 10, 42). (Z listu wspólnego XX. Arcybiskupów i Biskupów Austrii).

Gdzie prawdziwa pociecha?

Przed wielu laty żyła pewna wdowa w odległej ulicy miasta Sidney, w Australii. Siebie i rodzinę swoją utrzymywała z prania. Była protestantką, czytała pilnie biblię, była pełną wiary i kochała się w modlitwie. Gdy stała przy balii, nieraz zwracała oczy swe na sofę, na której leżała mała jej córeczka-kaleka. Widocznie, nie było już żadnej nadziei wyzdrowienia, bo żadna sztuka lekarska nie mogła jej przywrócić władzy w członkach.

— Czemużby — mówiła matka do siebie — Bóg nie miał i mojej córki uleczyć? Wszak On jest ten sam, co wtenczas, gdy chodził po ziemi i leczył chorych.

Jak tylko skończyła pracować, wzięła swe dziecko na ręce i w towarzystwie brata swego poszła do protestanckiego kościoła. Położyła córkę w przysionku i udała się do pastora, prosząc go, by jej córkę uleczył.

— Zapewne straciłaś rozum — odrzekł tenże.

Lecz, gdy go usilnie błagała, poszedł i przywołał drugiego pastora, który się zapytał, czy rzeczywiście po to przybyła, aby jej córkę uleczył.

— Czyś pani oszalała — zapytał.

— Nie oszalałam tak samo, jak pan — odrzekła. Czyż Apostołowie nie leczyli chorych?

— Ależ my nie żyjemy w czasach apostołskich; my nie możemy tego czynić, co oni czynili.

— Dobrze; lecz czyż Pan nasz nie obiecał uczniom swoim: „Dzieła, które ja czynię, i wy czynić będziecie; i jeszcze większe dzieła niż ja, czynić będziecie, bo ja idę do Ojca“.

Otworzyła biblię i wskazała na inny wiersz, który tak opiewał: „A oto ja jestem z wami aż do skończenia świata“.

— Więc pytam się, — dodała, uderzając ręką o stół, stojący w przysionku — czy możesz pan powiedzieć, że nie masz tej samej władzy, jeśliś pan jest Jego sługą?

Pastor ruszył ramionami, litując się niewiadomości biednej kobiety.

— Jeśli pan nie możesz córki mej uleczyć, — dodała, to ja się udam do kogoś, który ma większą wła-

dzę, jak pan; bo szkoda udawać się do takiego, który nie ma tyle władzy.

I wzięła dziecko na ręce i udała się do kościoła Najśw. Maryi Panny.

Tu odprawiał właśnie X. biskup Polding Mszę św. ku czci Najśw. Panny, której uroczystość właśnie w ten dzień obchodzono.

Brat Benedykt, zakrystyan, stał właśnie przy drzwiach i nie mógł się nadziwić, widząc kobietę, która pod ciężarem biednej kaleki ledwo się wlokła. Pomógł jej tedy złożyć ciężar i słuchał uważnie, gdy kobieta z wielkiem wzruszeniem prośbę swoją przedłożyła.

— Więc pani wierzysz, że nasz ksiądz biskup może jej dziecko uleczyć? — zapytał. — Ja mu oznajmię, gdy odejdzie od ołtarza.

Natychmiast przybył biskup, gdzie nań owa kobieta czekała.

— Czyż rzeczywiście myślisz, moja córko, że ja twe dziecko mogę uzdrowić? — zapytał biskup.

— Tak mocno w to wierzę, jak, że jest Bóg na niebie.

— Dobrze, więc zanieś ją do ołtarza — odrzekł biskup.

Brat Benedykt i matka podnieśli dziecko i położyli je na stopniach ołtarza. Biskup wziął nieco oleju i nacierał nim ręce i nogi biednego dziecka, błagając Boga najgoręcej o pomoc i błogosławieństwo. Następnie dał i matce nieco tego oleju i polecił jej przy nacieraniu odmawiać pewne modlitwy. Kazał jej także przyjść nazajutrz. W naznaczonym czasie położono znowu biedną kalekę, która już nogami poruszać mogła, na stopniach ołtarza, podczas gdy biskup Polding odprawiał Mszę św. Trzy dni z rzędu odprawiał biskup Mszę świętą — a po trzecim dniu powstała dziewczynka sama, zdrowa i silna, i mogła już bez najmniejszej pomocy chodzić — a serce matki rozplywało się w uczuciach wdzięczności. Biskup przystąpił do niej, by się jej radością podzielić i zapytał:

— Jakże, moja córko — czy wrócisz napowrót do tamtego anglikańskiego pastora?

— O nie, nigdy nie wrócę — odrzekła z zapałem matka.

W kilka tygodni potem można było być świadkiem rzewnej uroczystości w katedrze biskupiej. — Dwudziestu członków owej szczęśliwej rodziny klęczało obok siebie, aby złożyć publicznie wyznanie wiary i być przyjętymi do świętego, katolickiego Kościoła; poczem przystąpili do pierwszej Komunii św.

Wojna w mieście i na wsi.

„Pani“.

W „ogonku“ przed sklepem stały chok sielce miejska „pani“ i wsiowa „baba“. Czekwały na swą kolej, by kupić nafty. „Pani“, z pierzastą wiechą na głowie, trochę z ukosa poglądała na babę, okrytą w skromną chuścinę. Znudzona jednak długim czekaniem, nie wytrzymała, boć przecież niewiastą była i przemówiła:

— Cóż to gosposiu macie w koszyczku?

— Jaja — odpowiedziała baba.

— Na sprzedaż?

— A juścić, na naftę.

— Jak to?

— Dyć w sklepie woła jaja, jak pieniądze.

— A ileż dajecie za kwartę?

— Dwa. za tę najlepszą, cesarską.

— A przed wojną jak było? — pyta „baba“ zaciekawiona „pani“

— Przed wojną trza było ośm jaj na kwartę nafty sprzedać — odpowiedziała „baba“.

„Pani“ westchnęła i nad „babą“ ową kitą na kapeluszu tak hardo już nie potrzasała. Ta „baba“ bowiem ma za dwa jaja kwartę nafty, za sześć kilo masła porządne obuwie, za gęś welnianą chustę itp. Ona zaś, z tych trzystu koron miesięcznie, które jej mąż w urzędzie zarabia, cóż kupi. Zafrasowała się biedna, bo obaczyła, iż dzisiaj wobec niej „panią“ owa „baba“ została. I wstyd jej było owej hardej kity na głowie.

* * *

„Pan“.

Pan radca Safandulski sprowadził sobie trzy fury węgla. Zapłacił za nie pieniądze, które jeszcze z posagu żony był odłożył „na czarną godzinę“. I oto ta „czarna godzina“ w postaci „czarnego węgla“ teraz nań przyszła. bo służbowych poborów na życie nawet nie starczy, chociaż czterysta koron miesięcznie dostaje. Węgłe znieśli do piwnicy dwaj „kosiarze“, a przedko się uwinęli, bo za trzy godziny, już po zapłatę do pana radcy przyszli. „Za zniesienie trzech fur węgla trzydzieści sześć koron nam się patrzy“ — powiedzieli. Chciał, pan radca coś utargować, ale nie popuścili, a nawet przykro mu o „głupim pleceni“ docięli. Pilno im było, bo oto na sąsiedniej ulicy jeszcze przedpołudniem znieść mieli dwie fury, a popołudniu sześć. Zafrasował się biedny pan radca. On skończył szkoły, na które jego ojciec mnóstwo wydał pieniędzy i swoją wiedzę i pilność i tem nużącym ślęczeniem w urzędzie zarabia dzisiaj trzynaście koron dziennie, a owi prostacy, siłą rąk jeno zarobią za dzień we dwóch sto trzydzieści dwie korony. „Sześćdziesiąt sześć koron dziennie! — oto panowie!“

* * *

„Na miejskim chlebie“.

Uprzykrzył sobie Wojtek parobkowanie na wsi. Służył za wolarza i dostawał za to jedzenie, przydziewę i dwanaście „papierków“ na rok. Ale mu tego było mało. Dawali mu kaszę i kluski, a on chciał mięsa; dali mu mleka, on myślał o kawie; zgrzebna przyodziewa i barani, żółty kożuch za nie mu były, bo on marzył o czarnem „pańskim“ ubraniu. A najgorzej już to było z pieniędzmi, bo dwanaście papierków, to nawet na „odpusty“ mu nie wystarczyły; ciągle więc myślał o tem, żeby skądś więcej pieniędzy wykrcieć. I wymyślił. Poszedł do miasta, a kupiwszy sobie ręczny wózek, przewoził ludziom „gracie“. Przyszła wojna. „Wózkarzy“ pobrali do wojska, nie wielu ich się zostało, więc Wojtek, dzisiaj już stary, zarabia dobrze, bo niema dnia, żeby dwudziestu, albo i więcej „papierków“ nie zarobił. Mój Boże! Dawniej, gdy był parobkiem na wsi, to dwa lata musiał ciężko charować, żeby mieć to, co dziś za jeden dzień zarobić potrafi. Ale cóż? Pieniądzem się nie nakarmi. Odstał oto rod piekarnią od północa prawie do dziewiątej godziny rano; chleba nie dostał. Brakło. Wczoraj też brakło i jutro pewnie znowu braknie... Zapłakał biedny Wojtek, gdy mu się przypomniał ów czarny chleb wiejski, którym za młodu tak wzgardził; i na „świątlejszy“ do miasta poszedł.

* * *

Miał Szymon Toporek chłopaka, który, gdy za gęsiami jeszcze chodził, tak już rachować umiał, że ziar-

ka w kłóskach policzył i powiedział ile ćwierci pszenicy z jednego kłóska za dziesięć lat będzie. Trzaby chłopaka do miasta, do szkół posłać, boby szkoda było, żeby się taki miał zmarnić na wsi. Ale jak tu na to poradzić, kiedy Szymon oprócz tych paru zagonów, trzech krów, konia i coś tam jeszcze gadziny, nie więcej nie ma. W mieście zaś i mieszkanie i książki i ubranie drogo płacić trzeba. Przyszłoby mu chyba za jedem rok wszystkie trzy krowięta sprzedać, by zdołać chłopaka na naukach utrzymać. Tak też zrobił. Najpierw jedną, potem drugą krowę sprzedał, a wreszcie i trzy opasniki, ale chłopak pierwszą klasę z celującym postępem skończył. „Co będzie jednak dalej? Przecież cały dla niego się nie wysprzedam?“ — frasował się biedny Szymon. Przyszła wojna i trzeci już rok się toczy... Młody Toporek do czwartej już klasy chodzi, a ojciec mimo to, na trzy krowy i konia i coś tam jeszcze gadziny, a nawet i gotowy grosz w skrzyni... Tym państwu, u których syn w mieście mieszka, dał żyta, pszenicy, grochu, kaszy, ziemniaków i zabitego wieprza, a on i chłopaka, niczem własnego syna za to pielęgnują. Nawet mu oto ubranie kupili, gdy matka raz i drugi jaj i masła przywiozła, a do piątej klasy książki dać obiecali, byle jeno u nich mieszkał...

* * *

Dziwna ta wojna. Nowe jakieś porządki na świecie tworzy.

Cudowne nawrócenie w czasie wojny.

Niedawno umarł z ran w wojskowym szpitalu w Krakowie młody żołnierz, Bolesław Hermann. W czasach pokojowych, jako skończony prawnik, posiadający stopień doktora praw, był adwokatem. Skoro atoli wybuchła wojna, powołany do szeregu, poszedł spłacić Ojczyźnie podatek krwi. Rzetelnie go spłacił. Uczestnicząc bowiem we wielu bitwach, wszędzie chlubnie się odznaczał nadzwyczajnem męstwem i odwagą, niebawem u jego rodaków i współwyznawców. Był bowiem żydem.

Gdy raz poszedł Hermann z małym oddziałem żołnierzy na wywiad, Moskale go wypatrzyli. Osaczywszy ze wszystkich stron cały oddział, tak gęsto ostrzeliwać go poczęli, że nie było już dla biednych wywiadowców ratunku. Wszyscy pewni byli śmierci. To też na śmierć się gotowali, odmawiając w głos modlitwy i wzbudzając akt żalu za grzechy. Lubo się zrobiło wtedy na duszy Hermannowi. Czuł bowiem, iż ta modlitwa chrześcijan zupełnie inna, niż jego żydowska, technie jakąś dziwną mocą. I przejął go żal, że, oto nie jest katolikiem, jak tance i tak, jak oni, modlić się nie może... W tem, gdy o tem myślał, ujrzał przed sobą dziwne zjawisko. Przed oczyma zjawił mu się świetlisty krzyż. Zrozumiał znaczenie zjawiska. W tej chwili bowiem, uczynił ślub, że gdy Opatrzność wyrwie go z odmetu tego ognia, który śmierć mu niesie, wówczas przyjmie wiarę katolicką. Śnać szczerze były te śluby, bo Bóg cudem Hermana i jego towarzyszy z owej śmiertelnej toni wyrwał...

Wdzięczny Bogu Hermann, wróciwszy, jako ranny z pola do Krakowa, wyuczywszy się pilnie prawd wiary katolickiej, wnet chrzest święty przyjął. Skutkiem ciężkich ran atoli musiał wnet umierać. Umierał jednak, jak na chrześcijańskiego bohatera przystało. Oczyściwszy duszę w sakramencie pokuty, posilił ją Ciałem i Krwią Pańską na drogę wieczności i pełen wewnętrznej radości Bogu ducha oddał.

Opieka nad ubogimi w parafiach krakowskich.

Jak już donosiliśmy przed kilku miesiącami w artykule p. t.: „W suterynach i na poddaszach Krakowa w czasie wojny“, prawie we wszystkich parafiach krakowskich zawiązały się komitety, mające na celu opiekować się ubogimi. Komitety te rozwinęły dość energiczną i błogosławioną działalność i otarły już niejedną łzę najuboższym, zapomnianym i cierpiącym z powodu wojny.

Podajemy więc na tem miejscu krótkie sprawozdanie z działalności „Komitetu Pań“, zawiązanego przy parafii św. Floryana. Przytoczone cyfry mówią same za siebie:

W parafii św. Floryana w Krakowie, zawiązał się dnia 22. maja 1916 r. Komitet Pań opieki nad ubogimi w tejże parafii. Działalność Komitetu zasadza się na niesieniu ubogim w parafii pomocy moralnej i materialnej. W czasie od dnia 22. maja 1916 r. do dnia 31. grudnia 1916 r. opiekował się Komitet 51 rodzinami (osób 123) i rozdzielił między nimi artykułów spożywczych jakoto: mleka, ziemniaków, tłuszczu, kaszy, fasoli, herbaty, kawy, również mydła za łączną kwotę 2.296.59 K. Oprócz tego rozdał bony na obiady w taniej kuchni za kwotę K 392.40, obdzielił odzieżą zebraną przez Panie komitetowe, udzielał zapomóg pieniężnych, wyszukiwał zajęcia zdolnym do pracy, wyrabiał poszczególnym osobom zapomogi w instytucjach dobroczynnych, dostarczał lekarstw bezpłatnie. Z okazji świąt Bożego Narodzenia urządził Komitet w dniu 23. grudnia r. z. w Kancelaryi parafialnej gwiazdkę dla biednych. Panie komitetowe podzieliły się z zebranymi opłatkiem i obdzieliły ich większymi ilościami prawiantów i odzieży.

Fundusze czerpał Komitet z jednorazowego zasiłku K. B. K., z kwesty Pań po domach i w dzień kwiatka, z większych i mniejszych datków jednorazowych, wkładki członków wspierających stale i z składek tajnych urządzanych wśród obecnych po każdorazowem posiedzeniu Komitetu. Największą jednak pomoc niósł stale ks. Dr. Kulinowski, który nie tylko zasiliał fundusz Komitetu dużymi datkami, lecz nawet przeznaczał na ten cel składki kościelne.

Zestawienie rachunkowe Komitetu za wyżej wymieniony czas przedstawia się: Dochód K 4.290.77, rozchód K 3.667.18. Pozostaje na rok 1917 K 623.59.

Komitet nadal rozwija swoją działalność, dziękuje serdecznie ofiarodawcom za dotychczasową pomoc i prosi gorąco o dalsze poparcie.

Za Komitet Cecylia hr. Badeniowa, wiceprezesowa. Jadwiga Walterowa, prezesowa. Marya Drezińska, sekretarka.

Czy i Papież się spowiada?

W r. 1853 znajdowałem się — pisze O. Weninger T. J. — z pewnym metodystą w łodzi, na jeziorze Michigan. Ten spostrzegłszy mnie, zbliżył się do mnie i zapytał:

— Czy jesteś pan katolickim kapłanem?

— Tak jest — odrzekłem.

— Czy mógłbym pana o coś zapytać?

— Dlaczegoż nie?

— Więc proszę mi powiedzieć, czy Papież także się spowiada?

— Naturalnie, że tak — była moja odpowiedź.

— Co? Papież spowiada się także? — zawołał zdziwiony.

— Z pewnością — odparłem — gdyż jeżeliby Papież się nie spowiadał, natenczas żaden człowiek nie potrzebowałby się spowiadać. Alboż Papież nie jest człowiekiem i do grzechu skłonym i czy może Chrystus Pan ustanowił dla Niego inny Kościół, jak ten, którego On jest Głową?

— Przed kim się więc spowiada, czy spowiada się może przed Chrystusem?

— Nie — odrzekłem — spowiada się przed kapłanem.

— Tego jeszcze wcale nie słyszałem! — zawołał wielec zdziwiony metodysta.

— Mój panie — rzekłem na to — pytaj się mnie jeszcze więcej o Kościół katolicki, bo z pewnością wiele jeszcze rzeczy nie słyszałeś pan o nim.

Na to jednak zabrakło mu odwagi.

Nawrócony rozbójnik.

Kiedy Jan św. Apostoł, po śmierci Domicyana wracał z wyspy Patmos do Efezu, prosili go wierni, aby i inne prowincye po drodze zwiedził i Pana Jezusa naukę, którą z własnych ust Jego słyszał, ogłaszać im zechciał. Skłonił się do ich próśb św. Apostoł miłości, i gdy w jednym z miast odprawił nabożeństwo, ujrzał tam młodzieńca, rosnącego, silnego, bardzo miłego wejrzenia i umysłu, jak można było wnosić, bardzo bystrego. Obróciwszy się tedy do biskupa, którego dopiero co wyświęcił, rzekł:

— Tego młodzieńca jak najgoręcej ci polecam w imię Chrystusa i całego Kościoła.

Wziął więc biskup rzeczzonego młodzieńca do siebie i obiecał, iż dołoży wszelkich starań, aby się nie zepsuł. Jan święty jeszcze kilkakrotnie i gorąco poleciwszy młodzieńca biskupowi, udał się do Efezu.

Biskup jak rzekł, tak uczynił. Wziął młodzieńca w opiekę, karmił go, pielęgnował, uczył, napominał z wszelką gorliwością, a nareszcie i chrztu świętego mu udzielił. Lecz następnie, jakoby ufając łasce, którą na chrzcie świętym otrzymał, nieco pobłażliwiej z młodzieńcem owym obchodzić się zaczął. Ten zaś poczuwszy swobodę, wdał się w towarzystwa rówieśników rozpustnych i zepsutych i począł ich złe życie naśladować. Najprzód bowiem uczęszczał z nimi na biesiady, zabawy i tańce; potem, gdy już na biesiady i zabawy zabrakło pieniędzy, wraz z towarzyszącymi po nocach chodził i okradał obywateli, a nareszcie i do najgorszych zbrodni za ich przykładem się posunął. Tak więc nieznacznie uczył się biedny młodzian występków — a że był gorącej natury i umysłu żywego, jako koń bez wędzidła, opuściwszy drogę enoty, gardząc napomnieniami biskupa, szybkim pędem leciał w przepaść grzechu i zbrodni. I już o małych występkach myśleć nie raczył, lecz na wielkie zbrodnie się ważył i to sobie miał za chlubę, że nikt mu w występkach wyrównać nie zdołał. Nareszcie z tych, co mu byli niegdyś nauczycielami grzechu, uczniów sobie naczynił, i zgrając zbójców z nich utworzywszy, sam się im stał niby wodzem i królem, do wszelkich występków drogę im pokazując.

Po niejakiem czasie zaproszono znowu św. Jana do miasta onego. Przybył tamże święty Apostoł, a skoro wszystkie wiernych potrzeby zaspokoił, rzekł do biskupa:

— Pokaż mi depozyt, którym ja i Pan Jezus u ciebie złożył, przy tych oto świadkach, których tu widzisz.

Biskup osłupiał i myślał zrazu, że Jan święty domaga się odeń depozytu pieniężnego, którego wcale nie otrzymał, lecz się zastanowił, sądząc, że Jan święty oszukać go nie może.

Widząc święty Apostoł, że biskup go nie rozumie, rzecze:

— Młodzieńca owego od ciebie żądam i duszę brata.

Wtedy głęboko westchnąwszy biskup, zapłakał i rzekł:

— On umarł.

— Jak to umarł? jaką śmiercią? — zapyta Jan święty.

— Bogu umarł — odparł biskup, bo się zupełnie zepsuł i przyłączył się do bandy zbójców. a teraz na tej górze i w tym lesie z opryszkami się kryje i hersztem ich został.

Usłyszawszy to Apostoł, natychmiast szatę, którą był odziany, rozdarł i z okropnym jękiem rzekł:

— Takiś to ty dobry stróż duszy brata twego! Osiadłajcie mi czempredzej konia i dajcie mi przewodnika! I wsiadłszy na koń, szybko popędził, jakby na skrzydłach miłości niesiony, ku owej górze, na której się krył nieszczęsny ów młodzian. A skoro przybył na miejsce kędy się kryli lotrowie, zatrzymany został od przedniej zbójców straży. Nie uciekał nigdzie, ani się ukryć chciał Jan święty, tylko głosem silnym wołał:

— Jam tu po to przyszedł, przywieźcie mi zaraz herszta waszego!

I skoro się zbliżał on herszt uzbrojony poznał zdaleka Jana świętego, a wstydem oblany, uciekać począł. Ale Jan św. starośći zapomniawszy i zgrzybiałego wieku swego, puścił wodze koniowi i jak strzała pędził za wyrodnym synem, wołając:

— Czemu uciekasz synu, przed ojcem twoim? czemu uchodzisz przed starcem bezbronnym? Stój nieszczęśliwy! nie bój się — masz jeszcze nadzieję życia. Ja Chrystusowi zdam sprawę za ciebie, i owszem chętnie za ciebie i śmierć poniosę, jako i Pan śmierć poniósł za nas, a za twą duszę oddam duszę moją. Stój tylko i wierz mi, że Chrystus, mnie powstał.

A zbrodniarz ów to słysząc, stanął, oczy ku ziemi spuścił i broń porzucił od siebie. A wreszcie drżąc jak listek na całym ciełe. gorzko płakał — a skoro Jan święty się zbliżył, upadł mu do nóg, jękiem i łkaniem, jak mógł zadosyć czyniąc za grzechy swoje i obfitemi łez zdrojami niejako na nowo był ochrzczony, tylko prawą swą rękę pod suknię kryjąc. A święty Apostoł pod przysięgą mu obiecał wyjednać przebaczenie u Zbawiciela, a potem, o dziwna miłości, upadł przed onym zbójem na kolana i rękę jego prawą, jakby już łzami pokuty obmytą, całując, do kościoła go przywiódł a nieustannie się modląc i często z nim razem surowo poszcząc, błagał Pana Jezusa o przebaczenie, które mu wybłagać obiecał:

I słodkimi i łagodnymi słowy go cieszył, i tego, co już prawie w rozpacz był upadł, nadzieją w nieskończone miłosierdzie Boże podnosi, i nie poprzestał, aż ów zbójca zupełnie się poprawił i życie świątobliwe wieść począł. Co więcej, postanowił go biskupem, jak niegdyś Pan Jezus pokutującego Piotra uczynił najwyższym owieczek swoich pasterzem!

Ofiara serca.

„Gdy się wypełniły dni oczyszczenia Maryi według zakonu Mojżeszowego“, wzięta Boskiego Synaeczka i zaniosta Go do jerozolimskiej świątyni, aby Go „stawić Panu“. A był tam starzec Symeon, który wiedziony proroczym natchnieniem, wziął na ręce Dzieciątka i rzekł: „Oto ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu“; a zwracając się do Jego Matki, dodał: „A duszę Twą własną przeniknie miecz“.

Gdy Bóg powoływał do życia naród żydowski, który miał przechować prawdziwą wiarę i wydać światu Odkupiciela, ciężko doświadczał wtedy praojca tego narodu, Abrahama. Wielki czyn miłości Boga dla „wybranego ludu“ okupić musiał Abraham straszną ofiarą ojcowskiego serca. Oto, na polecenie Boże, miał zabić jedynego syna Izaaka. Okropna musiała być boleść serca tego wielkiego ojca, skoro Bóg ostatniego ciosu już mu oszczędził i do zabicia syna nie dopuścił. Śnać cierpienia serca, które Abraham owej straszej nocy przeżywał, starczyły już Bogu za największą ofiarę.

„Duszę Twą własną przeniknie miecz!“ Oto straszny wyrok, jaki głosi Bożej Matce prorok Symeon. Powtarza się więc owo, do Abrahama rzeczone: „Weźmij syna twego jednorodzonego, którego miłujesz, a idź do ziemie Widzenia i tam go ofiarujesz na całopalenie, na jednej górze, którą tobie wskażę“.

Niemasz ponoś większego cierpienia nad to, które powstaje w duszy w długim oczekiwaniu nieuniknionego nieszczęścia. Nierównie lżejszym jest sam cios, choćby najboleśniejszy, niż owo strasne czekanie.

Gdy biednemu Arabowi na pustyni strasna zaraza poczęła wydzierać jedno dziecko po drugim i po trzeciego syna miał już „Anioł powrócić morderca, znalazł biednego ojca bez łez i bez serca, już omdlałego na boleści świeże, już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!“ — jak mówi Słowacki, największy piewca rodzicielskiej boleści. Nie mógł zdzierżyć biedny ojciec tego strasznego bólu oczekiwania i miał już „na syna trzeciego cierpienia powieki bez łez i serce z kamienia“. Nie starczyło mu już łez i serca... A wtedy, złękły się tej ojcowskiej boleści „tych wróbelków krocie, co zlatywały się tutaj o brzasku jeść okruszyny i kapać się w piasku“. Skoro bowiem ból wysłał biednemu ojcu ostatnią łzę z pod powiek i skamienił mu serce w piersi, a na twarzy wybił swe okropne piętno, ptaszyny owe „po źer przestały się wszystkie zlatywać“. Więc skarżył się biedny: „Czy odstraszyło je podarte płótno namiotu? czy twarz moja biedna? Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna! I spostrzegłem to — i było mi smutno!“.

W takiej strasnej boleści oczekiwania nieszczęścia Abraham trwał przez jedną noc, a Najśw. Maryja Panna przez lat. trzydzieści trzy... Tak długo trwała ofiara macierzyńskiego serca Maryi, które „przeniknął miecz boleści“. Skoro bowiem starzec Symeon wyrzekł był owe prorocze słowa: „Oto ten położony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu... a duszę Twą własną przeniknie miecz“, w pamięci Maryi odżyły naraz wszystkie przepowiednie o Jej Boskim Synu, że On, który był „jasnością chwały i wyrażeniem istności Ojca niebieskiego“, będzie zarazem „pośmiewiskiem ludzkim i wzgardą pospółstwa: że Jemu, w którym mieszka wszystka zupełność bóstwa cieleśnie, przebodą świętokradzko ręce i nogi, policzą wszystkie kości Jego i będzie start za złości ludzkie“. Przed oczyma Tej najlepszej z matek, stanął wtedy straszny obraz Jej Boskie-

go Syna rozpiętego na krzyżu w cierniowej koronie na głowie, o poszarpanem w strzępy ciele, wpatrującego się dogasającym już wzrokiem w oblicze Matki.

Słowa: „Duszę Twą własną przeniknie miecz“ — wdzierają się w najgłębsze tajniki serca Maryi i zastygają tam tym strasznym hółem, któremu łez i czucia człowieka braknie.

Pogańska starożytność przedstawiała taką boleść w martwym posągu Nioby, która na widok gwałtownej śmierci czternaściorga dzieci, z bólu skamieniała. — Chrześcijaństwo, które osiągnęło najwyższy stopień macierzyńskiej miłości i macierzyńskiego bólu w Maryi „stawiającej Jezusa Panu“ w świątyni jerozolimskiej, przedstawia Wyobrazicielkę tej największej boleści, jako kapłankę, a boleść Jej zowie „Ofiarą“. Skoro bowiem proroczo Symeona „przenikło mieczem boleści duszę Maryi“, Marya wśród tego największego cierpienia, jakiego nigdy żadne ludzkie serce nie odczuło, nie wydała ni jęku, ni słowa skargi, ale spokojna, woli Bożej poddana, jako pierwsza kapłanka Jezusa Chrystusa, składa Go na ręce Symeona, który niejako imieniem Ojca Niebieskiego przyjmuje na ofiarę tego, który ma być „postawion na upadek i na powstanie wielu“. Nieograniczony w swem miłosierdziu Bóg, chcąc podźwignąć upadłą ludzkość, dokonuje tego dzieła miłości drogą wielkiej ofiary, ofiary macierzyńskiego serca Maryi, która się dopełni ofiarą Syna Bożego na krzyżu.

I tak zawsze na świecie się dzieje. Każde dzieło miłości dokonuje się ofiarą, a im dzieło większe, tem i ofiara większą być musi.

Pokuta? Co to jest?

Sławny francuski biskup Orleanu, Feliks Dupanloup (Dypanlu) opowiada zdarzenie ze swego życia, które tu podajemy dla zbudowania.

Działo się to w r. 1836. Byłem wtenczas przy parafii św. Rocha wikaryuszem. Wezwano mnie, abym dał ślub bardzo zacnej katolickiej parze. Miałem do nich zwykłą przemowę ślubną i przypominam sobie jak dziś, że podczas tej mowy miałem roztargnienie.

Przyczyną tego roztargnienia był pan przynajmniej 6 stóp wysoki, który sam jeden stał, podczas gdy wszyscy inni usiedli, i ostro na mnie spoglądał; to mnie tem bardziej żenowało, że jako pierwszy świadek zaledwie trzy kroki odemnie był oddalony. Po udzieleniu ślubu poszedłem do domu i nie myślałem o tem zupełnie.

Nazajutrz rano o 5 godzinie, zapukał ktoś do mych drzwi. Był to sam nowożeniec, który mnie prosił, abym czempredzej poszedł zaopatrzyć chorego. Tym chorym był jego wuj i właśnie ten wysoki pan, który mi wczoraj takie roztargnienie sprawił. Już podczas ceremonii ślubnej dostał zimnych dreszczyków — teraz zaś znajduje się w bardzo złym stanie zdrowia, a w takim wieku trzeba się o życie jego obawiać; lekarz zawołany natychmiast, odstąpił go już. Tak mówił do mnie nowożeniec.

Rozumie się, że zaraz z nim poszedłem, a po drodze pytałem go o niektóre rzeczy, aby się zorientować.

— Czy pański wuj był dobrym chrześcijaninem?

— On był zawsze bardzo dobrym człowiekiem, obawiamy się jednak, czy nie zaniedbywał swych obowiązków religijnych.

— Czy wie, że życie jego jest zagrożone?

— O tak, nie oddaje się żadnym złudzeniom.

— Czy sobie życzy, abym doń przyszedł?

— Tak jest! Gdyśmy obaczyli, że był w niebezpieczeństwie, zarazemy go zapytali, czyby sobie nie życzył, aby go jaki ksiądz odwiedził. Nic nie miał przeciw temu, Ale którego księdza? pytaliśmy.

— Ja nie znam żadnego, mówił z początku. A potem cicho, jakby do siebie: Ten ksiądz którego wczoraj widziałem, podobał mi się. On moją sprawę dobrze załatwi.

Tak rozmawiając, przyszedłem do hotelu, gdyż wuj nowożenca przybył z prowincyi, aby być na ślubie swego siostrzeńca i stanął w hotelu. Przyszedłem doń i zostałem z nim sam na sam. Leżał rozciągnięty na łożu śmiertelnie chory. Przystępuję do niego, a on bez wahania wyciąga ku mnie rękę z rodzajem serdeczności i poufałości.

— Ja wkrótce umrę — rzekł; — i chciałbym bardzo uczynić to, co się w takich razach czynić zwykło. Mam lat 74. Już 62 lat się nie spowiadałem. Jestem stary żołnierz. Już w 14 roku życia wstąpiłem do wojska. We wszystkich wojnach rewolucyi i cesarstwa brałem czynny udział, o Bogu nigdy nie myślałem, ale nie wiem, dlaczego nie myślałem. Teraz jednak czuję potrzebę nie opuszczać tego świata, nie pojednawszy się z Bogiem, zupełnie tak, jak gdybym Go był znał.

Tą otwartością i tą prostotą i szczerą mową poruszony, rzekłem pocieszając go:

— Więc dobrze, ja panu pomogę, a Bóg nam obu pomoże; z takimi szczerymi i otwartymi mężami jak pan jesteście, łatwo sobie damy rady.

Gdy przy pomocy pytań, skończył spowiedź, rzekłem:

— Teraz ci zadam pokutę.

— Pokutę? — rzekł i znowu na mnie ostro spojrział; co to jest? Ja nie mam najmniejszego pojęcia o tem.

Pouczyłem go więc, co to jest pokuta i tak dalej mówiłem:

— Ty cierpisz boleści, ofiaruj je Panu Bogu, a ja w ten sposób będę ci mógł tylko małą pokutę zadać: proszę zmówić jedno „Ojcze nasz“ i jedno „Zdrowas Marya“.

Teraz dopiero prawdziwie ostro na mnie spojrział, bo acz przez chorobę i wiek bardzo był słaby, to w jego wzroku była nadzwyczajna siła. Rzekł tedy:

— Ojcze nasz... Zdrowas Marya... co to ma znaczyć? Ja o tem nigdy nie słyszałem.

— Dawniej, dawniej z pewnością o tem słyszałeś — rzekłem — są to modlitwy najpiękniejsze w naszej religii, ja ci pomogę, najprzód sam przepowiem, potem ty ze mną, i tak będzie dobrze.

Ukląkłem przy jego łożku, wzięłem jego rękę w moją i zacząłem pomału odmawiać „Ojcze nasz“. Gdym przyszedł do słów: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ objął kureczowo moją rękę i jakby budząc się z długiego snu, rzekł:

— O teraz sobie przypominam... tak, zdaje mi się, że kiedy jeszcze byłem dzieckiem, matka mnie coś podobnego uczyła... Proszę jeszcze raz zacząć z początku.

Powoli zaczął teraz słowo za słowem powtarzać, powoli też przypomniał sobie, że tę modlitwę już słyszał. Zdało mi się, jakobym widział, jak te słowa z jego duszy wychodzą, jak gdyby w niej głęboko były zanurzone, a potem nagle na widok wypływały.

— Ach tak, przypominam sobie: Ojcze nasz, któryś jest w niebie! tak jest, teraz sobie przypominam, że się tak kiedyś modliłem. O, jakże piękna jest ta modlitwa!

Gdy przyszedł do tych słów: „Odpuść nam nasze winy“ rzekł:

— Tak, te słowa szczególnie sobie zapamiętałem, z temi słowy i resztę sobie zapamiętałem; matka moja kazała mi je zawsze mówić, ile razy jaki błąd popełniłem...

W ten sposób i z takimi przerwami dokończyliśmy Modlitwy Pańskiej. Następnie prosił mnie, abym ją z nim powtórzył, a potem już sam mówił. Gdy skończył „Ojcie nasz“, rzekł:

— Ale jest jeszcze inna modlitwa. Tak, przypominam sobie, że matka moja mi opowiadała, iż jest jakaś Najśw. Panna... Proszę poczekać... Jakże się ta modlitwa zaczyna?...

Gdym zaczął: „Zdrowaś Marya“, zaraz przerwał:

— Tak, tak jest: „Zdrowaś Marya, łaski pełna, Pan z Tobą“.

I w ten sposób wszystkie słowa tej modlitwy w pamięci jego odżyły, aż wreszcie przy końcu modlitwy: „Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej“ we łzach się rozplynął.

Opuściłem go, bo był zmęczony, i obiecałem mu, znowu go odwiedzić, gdy wypocznie. Zostawiłem mu mały krucyfiks, uczyniwszy uwagę, że w hotelach nie łatwo znajdzie takie rzeczy. Widziałem, jak go drżącymi rękami obejmował, do serec i ust przyciskał.

Nazajutrz o 5-tej z rana znowu go odwiedziłem. Siostrzeniec opowiedział mi, że wuj przez całą noc wiele cierpiał. Zbliżyłem się doń i zapytałem, jak się ma.

— Bardzo dobrze — rzekł.

— Ale powiedziano mi, żeś pan tej nocy bardzo wiele cierpiał — odrzekłem.

— To księdzu powiedziano? A, bo oni nie wiedzą, że mi ksiądz zostawił Poczyciela.

To mówiąc, pokazał mi mały krucyfiks, który mu dałem, a którego on z rąk nie wypuszczał.

— Patrz ksiądz, ten potężny Pan, który tu wisi, pocieszał mnie. Przypatrywałem się Mu i całą noc „Ojcie nasz“ i „Zdrowaś Marya“ mówiłem. A przez to się stało, że niewiele cierpiałem.

Tyle biskup Dupanloup. (Erb. Stund.).

Z życia św. Franciszka Salezego.

Kiedy człowiek czuje, że ma powołanie do stanu małżeńskiego, powinien z modlitwą połączyć roztropność; roztropność zaś domaga się, abyśmy zasięgli rady człowieka roztropnego i bezinteresownego.

Jeden ze sług św. Franciszka Salezego, Franciszek Favre powziął zamiar poślubienia młodej, bogatej i cnotliwej wdowy, nazwiskiem Clavel. Pewnego dnia przyszło mu na myśl, napisać do niej list z oświadczeniem o jej rękę, gdyż sądził, że listownie łatwiej będzie mógł wynurzyć swe myśli i uczucia, jak ustnie; ale właśnie gdy zajęty był pisaniem, pan jego św. Franciszek Salezy wchodzi do jego pokoju.

Natychmiast rzuca pióro, usuwa kalamarz, a list chowa do szuflady. Święty biskup, nie nie mówiąc, przeszedł się kilka razy po pokoju, a potem patrząc na młodzieńca, rzekł:

— Franciszku, nieprawda, że gdy wszedłem, ty coś pisałeś?

Ten zaś zawstydzony, nie wiedząc, co odpowiedzieć, milczał.

— Cóżes to pisał? — zapytał biskup.

A widząc, że nie odpowiada, zapytał znowu:

— Czyż ja nie jestem także jednym z twych przyjaciół, że mi się nie chcesz zwierzyć?

Temi słowy ośmielony, opowiedział wszystko. Święty biskup wziął tedy list, przeczytał go i rzekł:

— Ty się na tem nic nie rozumiesz.

I zaraz usiadł i własnoręcznie napisał list, pełen prostoty i grzeczności, mówiąc:

— Oto masz, odpisz ten list, podpisz się i poslij go. Zobacysz, że wszystko będzie dobrze.

Favre posłuchał, a w kilka dni potem, wdowa ujęta grzecznością i skromnością, z jaką ów młodzieniec prosił o jej rękę, przysłała do świętego biskupa z prośbą o radę. Ten zaś poradził jej, że za Favra iść może i że Bóg będzie im błogosławił, co się też ziściło.

Inny jego służący, chcąc się żenić, poszedł potajemnie, by tę rzecz ukryć przed swym panem, do osoby z którą chciał się żenić i oświadczył się o jej rękę. Św. Franciszek dowiedziawszy się o tem, czynił mu ojcowskie wyrzuty za taką nieszczerłość i obiecał mu pomoc w jego przedsięwzięciu. Człowiek ten wzruszony do głębi taką dobrocią, odrzekł:

— Jestem aż nadto szczęśliwy, że jestem sługą takiego pana; wołę się nie żenić, jak takiego pana porzucić.

— Nie — odrzekł św. Franciszek — ta osoba jest odpowiednią dla ciebie; to małżeństwo będzie szczęśliwe, ja usunę wszelkie trudności, które powstać mogą i jakoś się to zrobi.

Rzeczywiście małżeństwo to przyszło wkrótce do skutku.

Lecz jeżeli święty Franciszek tak chętnie pomocy swej udzielał swym służącym do małżeństwa, jeżeli sądził, że mają doń powołanie, to nie mniej starał się dobrocią swą odradzić im takowe, jeżeli sądził, że ono nie będzie szczęśliwe.

Tak naprzykład pewien młodzieniec bardzo dzielny, miły w obejściu i nie mniej cnotliwy, który był w jego służbie, przyszedł dnia jednego do św. Franciszka i opowiedział mu, że kilka bardzo korzystnych partyj mu się trafia.

— Moje drogie dziecko — rzekł święty Franciszek — ja kocham twoją duszę jak moją własną; niema dobra, którego bym ci nie życzył i nie chciał udzielić, gdybym mógł to uczynić. Sądzę, że o tem nie wątpisz. Ale zdaje mi się, że jesteś jeszcze za młody do małżeńskiego stanu i że w dojrzalszym wieku i z większą rozważą trzeba do tego stanu wstępować. Rozważ to dobrze, bo gdy się już ożenisz, już nie będzie czasu się cofnąć. Małżeństwo, to zakon, w którym składa się profesję przed odbyciem nowicyatu; i gdyby przed ślubem był rok próby, jak przed profesją w klasztorze, byłoby bardzo mało profesów. Zresztą, czemu mnie chcesz porzucać? Jestem już stary i wkrótce umrę, po mojej śmierci możesz się urządzać jak chcesz. Zostawię cię memu bratu, który się postara dla ciebie o los tak korzystny, jak te partye, które ci się trafiają. Mówiąc te słowa, święty biskup miał łzy w oczach; a to tak wzruszyło młodzieńca pocziwego, że się rzucił do stóp jego, mówiąc, że mu aż do śmierci służyć będzie.

— Nie, moje dziecko — dodał św. biskup — ja nie żądam wcale ofiary twej wolności, lecz daję ci radę przyjacielską, jaką bym dał własnemu bratu, gdybym był na twem miejscu.

Książ de la Mothe.

Książ de la Mothe z Orleanu, biskup Amieński, spowiadał się co ośm dni; gotując się do św. spowiedzi odprawiał w duchu trojaką podróż, pierwszą do piekła, drugą do nieba, trzecią na Kalwaryę. Przenosił się najprzód myślą do piekła, a przedstawiając sobie miejsce, na które według swego mniemania zasłużył, wpośród wiecznie płonącego ognia, w towarzystwie szatanów i potępionych, dziękował Bogu, że dotąd nie został doń wtrącony, błagając o miłosierdzie i łaski, któreby go ochroniły od potępienia. — Wstępował dalej w duchu do nieba, żałując mocno, że przez grzech zamknął sobie bramę jego; błagał Pana Boga o otwarcie jej i wzywał pomocy Świętych. — Wreszcie szedł w duchu na Kalwaryę; tam wpatrując się uważnie i z miłością w Zbawiciela ukrzyżowanego, mówił sam do siebie:

— Oto moje dzieło, ja to jestem przyczyną boleści, które Jezus Chrystus poniósł, to ja wraz z innymi grzesznikami okryłem ranami ciała tego Boga-Człowieka, stałem się przyczyną Jego śmierci na Krzyżu. O Jezusie, cóżes mi złego uczynił? Jakże mogłem obchodzić się tak okrutnie z Tobą, który mnie ukochałeś bez miary, a którego ja powinienem był ukochać miłością nieskończoną, jeżelibym mógł Cię nieskończenie kochać. A ponieważ Ty jesteś nieskończenie dobry i litościwy, ja Cię kocham i żałuję żem Ciebie obraził.

Jakichże owoców nie zebralibyśmy z naszych spowiedzi, jakich postępów nie uczynilibyśmy na drodze Bożej, gdybyśmy zechecieli wstępować w ślady tego cnotliwego męża.

Woda i Chleb Boży.

Jedno z moich drogiech dzieci, opowiada kardynał Lavigerie (Lawniri), Arcybiskup Kartaginy, które się zawsze rozumem nad wiek swój (miało lat 10) wyszczególniało, ciężko zachorowało. Położono je do łóżka, a wkrótce chłopczynę tak rany okryły, że zdawał się być tylko jedną wielką raną.

Siostry św. Józefa, które go pielęgnowały podziwiała jego łagodność. Pewnego dnia, gdy według zwyczaju chorych odwiedzał, zwróciły moją uwagę na niego. Przystąpiłem do jego łóżka, wziął mnie za ramię i pociągnął ku sobie, bo głos jego był już bardzo słaby.

— Ojcie, — rzekł do mnie, kładąc rękę na pierś — tu wewnątrz jestem całkiem czarny.

— Co chcesz przez to powiedzieć, moje dziecko?

— Że moje serce czarne, bo jeszcze nie jestem dzieckiem Bożem. Ja chcę abyś mi dał tę wodę!

— Jaką wodę?

— Wodę chrztu, która duszę czyni białą przed Panem Bogiem, aby mogła pójść do nieba. — To mówiąc spojrział na mnie błagalnym wzrokiem i pocałował mnie w rękę.

— Kiedy chcesz — rzekłem — to tu przyszlę kapłana, który cię jeszcze lepiej pouczy i ochrzczi.

I rzeczywiście, wkrótce potem przyjął Chrztost święty z taką pobożnością, jaką tylko ten mieć może, kto jest pewny swego zbawienia.

Gdy w kilka dni potem znowu doń przyszedł i zapytał czy już jest ochrzczone, odrzekł:

— Tak. Ojcie, ale teraz tak chętniebym pragnął dostać Chleb Boży.

— On pragnie Komunii — zauważyła siostra — kapłan mówił o tem, a on teraz co chwile pragnie Komunii św.

— Cóż to jest Chleb Boży? — zapytałem go.

— Ojcie, to Pan Jezus.

W kilka dni potem, ponieważ coraz słabszym się stawał, przyniósł mu kapłan, który go chrzczył, Komunię św. W tej chwili coś tak nadzwyczajnego zaszło w tem dziecku, że wszyscy, którzy byli świadkami tego, z podziwieniem o tem mówili. Na widok św. Hostyi zajaśniało oblicze tego małego Araba jakby niebiańskim blaskiem. Było to jakby światło, co wychodząc z duszy, rysy jego rozpromieniało. Wyciągnął swe wychudłe ręce do Boskiego gościa, który go nawiedzał, a przyjąwszy Komunię św., leżał jakby w zachwyceniu. Wszyscy przytomni, kapłan, siostry i dzieci pogańskie płakały patrząc na to niebiańskie widowisko.

Ja przyszedłem kilka minut później. Za ledwie dzieci pogańskie mnie ujrzały, rzuciły się do mnie:

— O, — wołały, cisnąc się do mnie — my wszyscy pragniemy Chrztu, jak Hieronim. — To bowiem imię dano Arabowi na Chrzcie. Zbliżyłem się do łóża chłopczyka; oblicze jego całkiem było rozpromienione.

— Idę do nieba, aby zobaczyć Jezusa! — rzekł do mnie. W kilka chwil potem oddał ducha swego.

Słowa przy koronacyi Papieża.

W 8 dniu po wyborze nowego Papieża odbywa się uroczysta koronacya. Pomiędzy innymi obrzędami palą wiązkę kłaków, przyczem śpiewają słowa: „Ojcie święty, oto tak przemija wspaniałość świata!“ — Zaiste, żaden panujący tego świata nie może być zarozumiałym na swoje stanowisko; po pewnym czasie przyjdzie śmierć i zabierze jego ziemską władzę. Trupia głowa króla wygląda wtenczas tak samo jak czaszka zebra. Kto rozmyśla nad znikomością ziemskich zaszczytów, ten będzie pokornym.



Do naszych Czytelników.

CZTERY EWANGELIE w jedno złączone. Kraków 1916, str. 376 cena 3 Kor. Do nabycia w Administracyi „Siewu polskiego“, Kraków, ul. Franciszkańska 3. Ewangelia święta Pana Naszego Jezusa Chrystusa, czyli Cztery Ewangelie jako jedna całość, oddaje wielką usługę wszystkim duszom chrześcijańskim, dając im opowiadanie całkowite i autentyczne czynów Boga-Człowieka, przy zachowaniu słów i powagi tekstu świętego. Ojciec św. dołączył swój głos do ogólnego głosu XX. Biskupów, aby książka ta była czytana i rozważana wszędzie, tak, iżby się stała pobożnym pokarmem dla rodzin katolickich.

